Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 20 marca 1938 r.* Nr. 12

GDY CIEBIE NIEMA...



Gdy ciebie nie ma, marzę o tym,
By pieścić drogą twoją głowę,
Aby ci szeptać słowa tkliwe,
Pachnące, złote i różowe.

Aby całować ciemne oczy
I głaskać miłe, smukłe ręce
I nurzam się w marzeniu słodkim
I spalam się w serdecznej męce.

Ale gdy zjawisz się naprawdę,
Staję się nagle całkiem inną,
Taką, jak wedle zasad mamy,
Porządna panna być powinna.

I mówię z tobą o pogodzie
Bardzo rozsądnie i statecznie,
A serce puka mi pod bluzką
Nieprzyzwoicie i niegrzecznie.

A ty nic nie wiesz i podziwiasz
Zrównoważoną, młodą pannę
I myślisz: „ach, co za uprzejmość!
Co za maniery nienaganne!"

A. E.

MAX DU VEUZIT

4)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO IRENY MACIEJEWSKIEJ

Wtem, rozluźniwszy uścisk, powoli, ruchem ciężkim i niezgrabnym, podniosły się ku wargom i jeden z nich spoczął na ustach w dobrze znanym, symbolicznym znaku, nakazującym milczenie.

Uchwyciłam odrazu znaczenie tego ruchu.

— Nie trzeba mówić o tym... Siostra pana nie powinna się dowiedzieć, iż ja wiem... Ona nic nie wie... Ukrywa pan dobrowolnie prawdę przed nią, przed wszystkimi! Nawet przed lekarzami!

Zaledwie uchwytnym mrugnięciem powiek, potwierdził każde moje zdanie, wyszeptane raczej, niż wymówione, drżącymi ustami.

Byłam tak wzruszona myślą, iż prawdopodobnie dla mnie tylko wyszedł ze swego dobrowolnego grobu, w którym zamurował się żywcem, iż schwyciłam z kolei jego ręce i przycisnęłam je serdecznie do siebie obiecując:

— Dobrze, nie powiem nikomu o tym. Ja jedna tylko wiem, prawda? Dziękuję! Będę przyjaciółką i powierniczką pana! O, panie de Saumarte, panie Januszu, niech pan będzie spokojny. Nie zdradzę zaufania pana i może pan liczyć na moje serdeczne oddanie.

W biednych, wzniesionych ku mnie oczach spostrzegłam jakby błysk zadowolenia i uśmiech, lub raczej grymas, który usiłował być uśmiechem, wykrzywił jeszcze bardziej jego wąskie wargi.

Ja zaś byłam upojoną jakąś słodką, wewnętrzną radością.

Znalazłam przyjaciela i w mym płytkim monotonnym życiu zjawiła się tajemnicza przygoda. Tajemnica! Miałam w swej duszy zachować taką tajemnicę, był to cel dla mojej osamotnionej egzystencji, siła podtrzymująca mnie w chwilach smutnych rozmyślań, treść dla mego opuszczonego, pustego serca!

Będę się czuła kolejno matką, siostrą lub córką nieszczęśliwego automatu; będę mogła zapełnić mój umysł jego sprawami, będę się cieszyła jego radościami, martwiła jego smutkami. Czyniąc mnie powiernicą swej najcenniejszej tajemnicy, wyznaczył mi najpiękniejsze miejsce w swym życiu; miałam wrażenie, iż umieścił mnie nawet przed swą siostrą, przed wszystkimi.

Przycisnęłam znowu serdecznie ręce nieszczęśliwego kaleki.

— Będzie pan moim starszym bratem, ja zaś stanę się dla pana najczulszą i najbardziej oddaną małą siostrzyczką.

Podniósł ku mnie wzruszoną twarz.

Widziałam jego wychudłe czoło, wyblakłe oczy, wykrzywione usta, kościstą postać szkieletu, widziałam konwulsyjne ruchy, chód automatu; przedstawiał się w tej chwili mym oczom w całej okropności swego upiornego wyglądu, czułam jednak dla niego tylko gorącą sympatię, którą wzbudzał odtąd w mym kobiecym sercu.

Przybycie siostry przerwało nasze wzruszające sam na sam.



Uroczo wygląda artystka filmowa Jenny Jugo w swym najnowszym filmie p. t. „Mała i wielka miłość".

Słysząc otwieranie drzwi, zdążyłam zaledwie usiąść i przybrać obojętny wyraz twarzy.

Blanka podeszła ku mnie, przepraszając za swą nieobecność i wyrażając radość z mego przybycia.

Zwróciła się potem ku bratu, by złożyć macierzyński pocałunek na jego czole.

— Czy dziś mój biedak bardzo panią przestraszył? Annika powinna była wprowadzić panią do innego pokoju.

— Ależ wcale nie, zaprotestowałam żywo. Bardzo mi było miło dotrzymywać towarzystwa bratu pani. Proszę sobie wyobrazić, iż gdy jestem z nim sama mówię głośno, jak gdyby mógł mnie rozumieć, i opowiadam mu moje rozmaite smutki... Przyszłam tu z rozgoryczonym sercem... miałam mnóstwo drobnych, codziennych przykrości, które człowiek zawsze wyolbrzymia, gdy jest sam... Otóż, opowiedziałam je bratu pani i to mi ulżyło; po dziesięciu minutach smutek uleciał i śmiałam się z mych zmartwień.

— Brat mój co prawda, powiedziała uśmiechając się Blanka, niebardzo nadaje się na pocieszyciela.

— Może właśnie dlatego, iż wiem, że mnie nie rozumie, mam odwagę mówić mu o wszystkim.

Roześmiałyśmy się obydwie; byłam przecież zupełnie szczera, oświadczając, iż nie ośmieliłabym się opowiadać o mych troskach obcemu panu, gdybym wiedziała, iż ten mnie słyszy i rozumie.

Gawędziłyśmy przez dłuższy czas.

Wykonawszy zlecenie babki w sprawie Roches Noires, zaczęłam żegnać się z Blanką, obiecując przyjść wkrótce, gdyż uzyskałam zezwolenie na częste odwiedzanie Belle Vue.

Ucieszyła się niezmiernie tą perspektywą i zaczęła od razu robić rozmaite projekty:

— Będziemy urządzać wycieczki, zapoznam panią z okolicą, gdyż, jak mogę wnioskować z jej zbłądzenia, nie zna pani zupełnie tutejszych stron. Będziemy robić popasy w drodze... spędzimy czas wspaniale!

— Oh, strasznie lubię jadać na świeżem powietrzu! Ale czy brat pani będzie mógł nam towarzyszyć?

Czoło jej zachmurzyło się.

— Niestety, nie. Będziemy zmuszone pozostawić go tutaj, jak to czynię zawsze, gdy idę na spacer.

— A jednak, on też potrzebuje zmiany miejsca... trochę ruchu nie może mu zaszkodzić...

— Na nieszczęście, to niemożliwe: on ledwie chodzi.

— Mogłybyśmy jeździć, nalegałam wciąż.

Wydawała się zakłopotaną.

— Próbowałam kilka razy, lecz na nic to się nie zdało. Wstrząsy powozu wywoływały w nim przerażenie... a może sprawiały mu cierpienie... Musieliśmy trzymać go, aby nie wyskoczył.

— W tych warunkach spacer rzeczywiście nie może być miłym.

— Dlatego też wolę nie zabierać go ze sobą, gdy gdzieś idę. Nie mówiąc już o tym, że nie mogę udawać się z nim w okolice zamieszkałe: wygląd jego budzi strach w dzieciach, a poza tym nie chcę, by jego kalectwo było przedmiotem rozmaitych komentarzy.

— Ma pani rację, panno Blanko, nie trzeba, by biedny chory cierpiał wskutek ciekawości ludzkiej... pozostanie więc w Belle Vue... ale mimo to, proszę mi wybaczyć naleganie, byłabym bardzo zadowolona, gdybyśmy mogły zabrać go czasem z sobą...

— Patrzyła na mnie zdumiona.

— Jest pani najdziwniejszą ze wszystkich dziewcząt jakie znam, rzekła wreszcie, śmiejąc się. Większość panienek boi się mego brata, a pani, przeciwnie, dopomina się o jego towarzystwo.

Wstrząsnęłam poważnie głową.

— Sądzę, iż mam duszę pielęgniarki. Gdyby babka moja zgodziła się na to, wstąpiłabym do szpitala, by pielęgnować chorych. Zdaję sobie z tego sprawę, iż to dziwi panią, ale muszę przyznać się, że chętnie pielęgnowałabym brata pani, kierowałabym jego krokami, opiekowałabym się nim przy jedzeniu, jednym słowem, chciałabym być na miejscu pani.

— Ah, dziękuję bardzo. Jestem pewna, że prędko uczułaby się pani znużoną.

— Dlaczego? Pani nią nie jest i widzę panią zawsze cierpliwą i troskliwą przy chorym.

— Jest moim bratem i kocham go! To jedno tłumaczy wszystko. Ale panią nie łączą z nim żadne węzły... prędko zmęczyłoby panią ustawiczne dawanie z siebie troskliwości, sympatii, czujnej opieki... nic nie otrzymując wzamian.

— Rzeczywiście, ma pani słuszność, wyolbrzymiam zapewne zadowolenie, jakie dawałoby mi pielęgnowanie chorych. Moje powołanie do pielęgniarstwa nie może być porównana z godnym podziwu poświęceniem, płynącym z braterskiej miłości.

— Tym niemniej, moja mała dziewczynko, chętnie podzielę się z panią opieką nad moim bratem.

— Naprawdę chciałaby pani?

— Oczywiście, że chciałabym. W czasie swego pobytu w Belle Vue, może pani zawsze zajmować się nim wyłącznie, jeśli to zrobi pani przyjemność.

— Doskonale!

— Lekarz zalecił mi właśnie, bym robiła codzień po śniadaniu dwugodzinną przechadzkę. Przykro mi było, iż Janusz pozostawał sam przez ten czas. Ale jeśli pani

przy nim będzie, nie będę się już niepokoiła o niego.

— Brawo! Jestem bardzo zadowolona! I zgodzi się pani, by zabrać go czasem na nasze wycieczki w okolicę?

— Możemy raz spróbować.

— A jeśli będzie się dobrze sprawował?

— To powtórzymy jeszcze.

— Brawo, brawo! Muszę panią ucałować, aby umocnić ten piękny pakt!

Wyciągnęła do mnie ramiona, ja zaś radośnie rzuciłam się jej na szyję.

— Proszę pozwolić mi nazywać siebie po prostu „Sabiną", rzekła słodko przyciągając mnie do siebie i proszę ze swej strony, porzucić to ceremonialne „proszę pani", które wciąż słyszę...

— Blanko, jesteś czarującą przyjaciółką, wykrzyknęłam spontaicznie.

— Mała Sabinko, kocham cię jak młodszą siostrzyczkę. Twoja przyjaźń jest bardzo cenna dla mnie, wierz mi i nigdy ci nie zapomnę sympatii, którą okazujesz memu biednemu Januszowi.

Głos jej załamał się.

— Jesteś pierwszą osobą, poza mymi służącymi, która się nim zainteresowała!

— Ależ nie ma w tym mojej zasługi! To po prostu powołanie, jak ci już mówiłam.

Wzruszenie mej przyjaciółki zmieszało mnie trochę. Zdawało mi się, iż kradnę jej podziękowania.

Wkrótce musiałyśmy się pożegnać, gdyż zapadał zmrok.

— Do jutra Blanko, o ile nie będzie deszczu, przyjdę z pewnością.

— Dobrze! Do widzenia!

Przed odejściem zbliżyłam się do jej brata.

Obojętny i nieruchomy był świadkiem poprzedniej sceny.

— Do widzenia, panie de Saumarte, do jutra. A wie pan, dodałam pochylając się nad nim, należy pan teraz trochę i do mnie. Siostra podzieliła się ze mną swymi prawami do pana. Zobaczy pan, będziemy dobrymi przyjaciółmi. Do jutra!

Uciekłam prędko, gdyż w oczach nieszczęśliwego wzniesionych ku mnie, spostrzegłam pojawiające się światełko, i obawiałam się, by Blanka tego nie zauważyła.

* * *

Łatwo się domyślić, iż na drugi dzień, po niespokojnie spędzonej nocy, byłam już od samego rana w Belle Vue.

Blanka, tak jak to zapowiedziała, wyszła już na swój codzienny spacer. Zaprowadzono mnie odrazu do jej brata.

— Proszę się nie fatygować Anniko, rzekłam do starej służącej, która mnie poprzedzała. Trafię już sama, a panna de Saumarte upoważniła mnie do zastępowania jej przy bracie w czasie jej nieobecności.

Lecz służąca była pewnie zachwycona możliwością rozwiązania swego języka, który tak długo musiał nieraz milczeć w tym wielkim, uśpionym domu, i nie opuściła mnie, odprowadzając aż do chorego.

— Wiem, rzekła, nasza młoda pani opowiedziała nam już jaka panienka dobrą jest dla tego biednego pana; powiedziała też, że bardzo panienkę kocha i jest szczęśliwa, iż pani chce się zająć jej bratem.

— Ależ niema w tym naprawdę żadnej zasługi, proszę mi wierzyć, odparłam.

Pochyliłam się jednocześnie nad automatem, ściskając mu przyjaźnie rękę.

— Wszak prawda, panie Januszu, to wielka przyjemność dla mnie odwiedzać pana i bardzo się cieszę, iż będę mogła dopomóc w czemś panu.

— Niestety! odezwała się stara służąca, ani go to grzeje, ani ziębi! To raczej my wszyscy jesteśmy uradowani obecnością panienki tutaj. Wczoraj wieczorem, po wyjściu panienki, nasza młoda pani nuciła sobie, a nie zdarzyło się to już nietylko od miesięcy, lecz od lat.

— Naprawdę? wykrzyknęłam radośnie. To ja przyczyniłam się do tego?

— Ano tak. Pani mówiła, że znalazła siostrzyczkę... A jej biedny brat będzie miał przyjazną duszę... i zdawało się jej, że panienka ma już dobry wpływ na chorego...

— Jakto? zapytałam podejrzliwie, ze zdziwieniem badając oczami obojętną twarz kaleki.

— Ano tak. A może to nucenie siostry uspokoiło go! On nie nie rozumie, nieprawdaż, dla niego życie jest zawsze jednakowe i nigdy nie spostrzega nawet tej czy innej twarzy. A wczoraj wieczorem pan Janusz był bardzo spokojny, bardzo grzeczny i nie słyszeliśmy jego ustawicznych jęków, jak co wieczór.

— Ach, co wieczór... wyszeptałam zamyślona.

— Bo czasem to jest on okropny... Trzeba go pilnować... Mógłby zrobić sobie coś złego, nie zdając sobie z tego sprawy... Lekarz przypuszcza, że ciemności napełniają go lękiem... a może światło lamp... Trzeba czuwać nad nim nawet w nocy... kilka razy już wstał i chciał wyskoczyć przez okno.

Patrzyłam w osłupieniu na starą kobietę.

Cóż ona mi mówiła?

Blanka de Saumarte zapewniała mnie niejednokrotnie, iż brat jej jest bardzo łagodny i łatwy do pielęgnowania.

Oczy moje w niemym zapytaniu spoczęły znowu na tej biednej twarzy, zniekształconej okropnym skrzywieniem ust.

Czy ten nieszczęśnik naprawdę jest niezawsze przy zdrowych myślach? zapytywałam w duchu. Nawiedza więc go czasem niebezpieczny obłęd... jakieś ataki powracające regularnie co wieczór?

Głębokie westchnienie wydarło mi się z piersi. Czułam się rozczarowana. Na moich idealnych marzeniach, które snułam



Ostatnio obchodzono w Szwecji 77. rocznicę urodzin brata króla, księcia Karola. Na zdjęciu goście, przybyli na tę uroczystość. Stoją od lewej: ks. Jerzy duński, Karol i Eliza Bernadotte, król Leopold belgijski, ks. Karol — solenizant, ks. następca tronu Olaf szwedzki. Siedzą: księżniczka Małgorzata duńska, księżniczka Ingeborga szwedzka i księżna Marta norweska.

od wczoraj, powstała rysa. Zdawało mi się, iż odkryłam umysł zdrowy i jasny, tymczasem był to niebezpieczny chory, podlegający niepokojącym atakom.

Myśli te musiały zapewne malować się na mej twarzy, gdyż chory podniósł z trudnością rękę i wpił palce w moją dłoń, ściskając ją mocno.

Zwróciłam się do służącej i tym razem ja zapytałam ją:

— Więc wczoraj pan Janusz był zupełnie spokojny?

— Jak rozsądny człowiek, proszę panienki. Siostra jego nie mogła się nadziwić. Trzeba bowiem panience wiedzieć, iż aby skrócić monotonię długich, samotnych wieczorów, pani wzywa nas zawsze tutaj i spędzamy razem wieczorne godziny.

— To lepsze, rzeczywiście, niż samotność.

— A tak! opowiadamy tu sobie rozmaite rodzinne wydarzenia... a szczególnie wspominamy przeszłość... tą drogą przeszłość, gdy marzyło się o przyszłości; nasza panienka miała wyjść za mąż, pan Janusz miał śliczną narzeczoną...

Przerwałam zmieszana:

— Wiem o tym ,wasza pani mówiła mi... A więc wczoraj wieczorem, pan Janusz?... dopytywałam się.

— Ach tak! pan Janusz... cóż to ja mówiłam? A tak, pan Janusz jest prawie zawsze podniecony, jęczy, kręci się, nie może usiedzieć na miejscu. Gdyby rozumiał można by przypuszczać, że te nasze pogadanki nie podobają mu się, że nie chce ich. Naprawdę co wieczór jest niemożliwy. I, jak to już mówiłam, proszę panienki, w nocy, po tych chwilach dziwnego wzburzenia, taki jest zdenerwowany i zły, iż trzeba czuwać nad nim.

— Jakto zły? dopytywałam się wciąż.

— Ano, nie chce leżeć w łóżku, zrywa się, chce skakać przez okno. Kilka osób musi go przytrzymywać. Wygląda jak opętany przez diabła!

Te tłumaczenia wszystko mi wyjaśniły. Ataki nocne, o których mówiła stara służąca, nie były atakami szału. Były spowodowane rozpaczą, wywołaną przez bolesne wspomnienia, które nasuwały mu wieczorne pogawędki

Gdybym nawet wątpiła w to, znaczący uścisk niezgrabnych palców, które wpiły się w moją dłoń, wołając cicho i żałośnie o pomoc, dałby mi odczuć prawdę.

Wzrok mój spotkał oczy kaleki wpatrzone we mnie. Szepnęłam „Biedny pan Janusz", wyrażając tymi prostymi słowami współczucia, smutne myśli, które mnie ogarnęły.

Stara kobieta inaczej zrozumiała te słowa.

— O, tak, panienko, zawołała. Biedny pan Janusz. Młody, piękny, bogaty, kochany! i stał się takim okropnym, przerażającym potworem, prawdziwym ludzkim łachmanem!

Ruchem ręki chciałam nakazać jej milczenie.

Ona jednak ciągnęła dalej, potrząsając głową:

— Niech się pani nie obawia! On nic nie rozumie. I to całe jego szczęście, że stracił rozum w czasie wypadku, inaczej oszalałby pewnie z rozpaczy, gdyby rozumiał swój stan... szczególnie po tym podłym opuszczeniu go przez kochaną kobietę... bo pani zapewne wie, iż nigdy nie odwiedziła go nawet i wyszła za mąż za innego.

— Proszę zamilknąć, dość tego! krzyknęłam, wyszedłszy z siebie, gdyż gadulstwo tej kobiety stało się denerwujące i przykre.

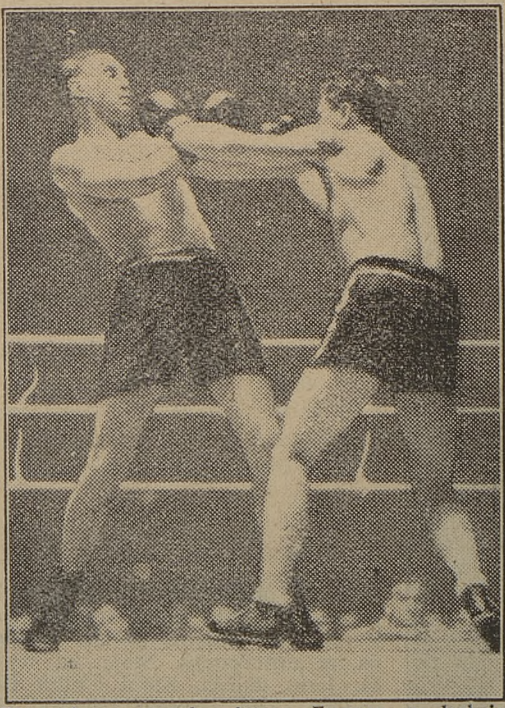
Wydała się zdziwiona:

— Mówię przecież panience, że on nic nie rozumie.

Należało opanować się.

— Tak... tak... wiem, wasza pani mówiła mi o tem. Ale to silniejsze ode mnie: muszę przy nim tak postępować i mówić, jak gdyby rozumiał.

— Panienka się przyzwyczai, rzekła spokojnie. Nasza pani, która ubóstwia swego brata, nie krępuje się już teraz, wie, że jej nie słyszy. Wczoraj, naprzykład, wspominaliśmy całą przeszłość, rozmawiając o pani. Pan Janusz był taki spokojny, iż panienka mówiła, że to obecność pani działa na niego tak zbawiennie. Głos pani, nowa twarz... to mu dobrze zrobiło, wywołując może instynktownie, wspomnienie jego narzeczonej.



W walce o tytuł mistrza Europy w boksie amatorskim starli się Kölblin (Niemcy) i Lazek (Austria). Walkę wygrał Lazek, ponieważ Kölblin za nieprawidłowe uderzenie przeciwnika został zdyskwalifikowany

— To nie może być! krzyknęłam mimowoli ze zgrozą, na myśl iż podobna pomyłka mogła powstać w jego mózgu.

— Cóż można wiedzieć o szalonym! mruknęła służąca.

— Właśnie, to jeden powód więcej, aby liczyć się ze słowami w jego obecności. I jeśli Annika chce zrobić mi przyjemność, proszę postępować z nim tak, jak z normalnym i wrażliwym chorym.

Starowina zrobiła obojętny ruch. Wydawało się jej zapewne, iż moje polecenie jest bezcelowe i niepotrzebne.

— Czyż trzeba krępować się takim stworzeniem, które niema w sobie nic ludzkiego! Ostatecznie, niech będzie jak panienka sobie życzy: będę przy niej uważała na słowa. Ale jestem pewna, że panienka sama się przyzwyczai.

— Możliwe... A teraz, dobra Anniko, proszę nie tracić więcej czasu i powrócić do swej pracy.

— Ano tak! a gdyby panienka czegoś potrzebowała, proszę mnie zawołać.

— Dobrze, zawołam...

Chciałam się jej jak najprędzej pozbyć, drażniła mnie bowiem niewymownie swym gadulstwem. Odetchnęłam z ulgą po jej odejściu.

Zbliżyłam się do nieszczęśliwego kaleki, który przez cały czas tego ożywionego dialogu, siedział nieruchomo w swym fotelu.

— Przepraszam pana, panie de Saumarte, za gadulstwo tej kobiety, ja jednak nie sprowokowałam tego i nadaremnie chciałam jej przerwać...

Uczynił nikły ruch ręką, jakby zapewniając, iż nie ma o to urazy do mnie.

— Nie ma pan do mnie żalu? Dziękuję... A czy zadowolony pan, widząc mnie tu znowu?

W głębi bezbarwnych oczu, zalśniła iskierka, skrzywione usta chciały coś powiedzieć.

Skinęłam ręką, by się nie męczył.

— Wie pan co, ustalmy jakieś znaki, wyrażające „tak" lub „nie", co ułatwi nam znacznie porozumiewanie się. Może później powiększymy nasz słownik, na razie ja będę stawiała pytania, a pan będzie odpowiadał „tak" lub „nie". Czy podoba się to panu? Proszę wykonać jakiś ruch, który zawsze będzie oznaczał „tak".

Pochylił głowę, opuścił powieki i podniósł nieco rękę.

Uśmiechnęłam się.

— To już nie jeden ruch, lecz trzy. Ustalmy więc, że te trzy ruchy, razem lub oddzielnie, będą oznaczały „tak".

Skłonił głowę.

— Oto znak twierdzenia — powiedziałam zadowolona. A teraz, jakże pan wyrazi „nie"?

Otworzył usta i usiłował wydobyć jakiś dźwięk, był to jednak tylko pomruk. Zrozumiałam o co mu chodzi i rzekłam:

— Doskonale! zaprzecza pan słownie, by powiedzieć „nie".

Oczy jego potwierdziły to i zdawał się być zadowolony, iż go tak prędko zrozumiałam.

Rozmyślał on prawdopodobnie już od wczoraj o tych sprawach, gdyż raptem zaczął się poruszać i wydawać okrzyki.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

73)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Teraz Krach był zadowolony, bo pośrednictwem w sprawie honorowej między dwoma arystokratami, osiągnął szczyt swych pragnień i marzeń.

Był przecież gościem w książęcym pałacu!

Wprawdzie książę niebardzo grzecznie go przyjął, ale nikt mu przecież nie mógł zaprzeczyć honoru, sekundowania przy pojedynku.

Za mało obeznany z regulaminem honorowym, nie wiedział, że takie sprawy trzyma się w największej dyskrecji i opowiadał każdemu, kogo tylko spotkał, o pojedynku, w którym miał być sekundantem.

Chwalił się jednak zawcześnie, bo pojedynek nie miał przyjść do skutku.

Pewnego dnia po obiedzie, gdy Feldern powolnym krokiem przechodził ulice miasta, nie wiedząc co ze sobą począć i zobaczył przejeżdżającą w dorożce Hortensję.

Jechała widocznie na cmentarz ozdobić groby swych kochanych zmarłych, gdyż wiozła ze sobą wspaniałe wieńce.

Asesor pożerał piękną kobietę oczyma. Od owego listu, w którym mu Hortensja wymówiła swą przyjaźń, starał się Feldern kilka razy jeszcze odwiedzić dawną pupilkę, lecz Luigi odpowiadał mu zawsze.

— Pani nie ma w domu!

Poznał wreszcie, że wszelkie zbliżenie się było daremne i starał się pogodzić ze swoim losem.

Teraz zobaczył ukochaną kobietę niespodzianie w pobliżu i nie mógł oderwać od niej oczu.

Ona zaś spuściła wzrok, a na pięknej jej twarzy malował się głęboki smutek. Widoczne było, że go poznała, ale nie chciała go widzieć. Widok jego, zdawał się dla niej być bardzo przykrym.

Spostrzegł to Feldern, a fakt ten, prócz bólu, wzbudził w nim też zwykły mu straszny upór.

— Ba — mruknął — dla mnie ona więcej nie egzystuje! Nie byłaby zresztą i tak nigdy moją została, a w końcu jest ona tylko kapryśnym, nierozsądnym dzieciakiem.

Ale spotkanie to zirytowało go więcej, niż się do tego przyznawał. Aby się otrząsnąć z tego wrażenia, poszedł wprost do Lizy.

Baletnica przyjęła go głośnym okrzykiem radości, i wybiegłszy naprzeciw złapała go w objęcia i wycałowała serdecznie; czułości te Feldern znosił z bierną obojętnością.

Koniec tych pieszczot zaś był taki, że wyłudziła od niego 200 reńskich, niby na czynsz, którego rzekomo nie miała czym zapłacić, a o który gospodyni miała się codziennie dopominać.

Wręczając jej 2 stuguldenowe banknoty, rzekł Feldern:

— Zdaje mi się Lizo, że dopiero wczoraj dałem ci 1000 reńskich?

— To było przedwczoraj, panie asesorze — broniła się baletnica — a wtedy jeszcze o czynszu nie myślałam i kupiłam so-



Jalkanen — Finlandia, zwycięzca biegu narciarskiego na 50 km. w czasie mistrzostw świata w Lahti.

bie kostium, który mi także był potrzebny. Zresztą, wstydź się pan, panie asesorze, naśladować tego skąpca Kracha; panu to nie wypada, pan przecież jest arystokratą!

— Dobrze, dobrze — przerwał jej asesor znudzony.

— Nie nudź mnie, Lizo — dodał wreszcie — przeciwnie, musisz starać się zabawić mnie i pomóc mi odpędzić smutne myśli.

Z wdzięczności za hojny datek Felderna, starała się Liza być bardzo zabawną. Śmiała się i sadziła się na dowcipy, ale nie udało jej się rozweselić Felderna, który ziewał i nawet się nie uśmiechał.

— Wie pan co, panie asesorze — rzekła wreszcie Liza zrozpaczona — Greta opowiadała mi, że kiedyś tu, gdy miała u siebie barona Sturmfedera i księcia Petöfiego, wymyśliła taką zabawę, że każdy z nich wyciągał włosie z foteli, a ten, który miał najdłuższy włos, wygrywał. Mówiła, że się panowie świetnie tym bawili i że fotel później okropnie komicznie wyglądał.

— Greta świetnie na tej zabawie wyjść musiała — zauważył Feldern.

— O, nie tak bardzo znów — odparła Liza — bo była tylko dziesięcioguldenowa stawka. Ale możeby się i pan tym rozweselił. Spróbujmy! — dodała.

— Wiem wprawdzie z góry, że to będzie okropnie nudne — rzekł Feldern — ale mniejsza z tym. Nie oszukuj mnie tylko przy tym zanadto, Lizo!...

— Jak gdybym ja pana kiedyś wyzyskiwała! — zawołała Liza z dobrze udanym oburzeniem.

Przyniosła flaszkę wina z lampeczkami i postawiwszy między sobą a Feldernem dobrze utrzymany czerwony adamaszkowy fotel, zawołała:

— Teraz możemy rozpocząć! A jak wysoka będzie stawka? — zapytała.

— Jak chcesz — odparł asesor obojętnie.

— No, to niech będzie dziesiątką, czy zgadza się pan? — zapytała potulnie.

— Niech i tak będzie — brzmiała odpowiedź.

— Niech mi pan pożyczy pierwszą dziesiątkę na stawkę, panie asesorze — rzekła Liza, abym nie musiała naruszać pieniędzy przeznaczonych.

Asesor ziewając spełnił i to życzenie baletnicy. Zaczęli więc zabawę, a Feldern rozweselił się przytem, mimo, że ciągle sobie z niej drwił, nazywając ją głupią zabawką dla dzieci.

Gdy Krach może w godzinę później nadszedł, zastał Lizę z Feldernem zajętych wyciąganiem i mierzeniem wyciągniętych włosów fotela. Rozgorączkowane policzki Lizy i dobry jej humor wskazywały, że ona wygrywała. Krach nie mógł stłumić w sobie pewnego uczucia zazdrości.

— O, — zawołał — jak się państwo dobrze bawią beze mnie!

— Niech pan przystąpi do naszej gry — zachęcał go asesor.

— O nie — bronił się Krach — bo Liza by mnie zanadto oszukiwała.

— To prawda — potwierdził asesor — naciągnęła ona i mnie porządnie.

Liza wprawdzie bardzo się na to oburzyła, ale również prędko się umitygowała i posłała po kolację i świeży zapas wina, naturalnie znów na rachunek asesora. Posiliwszy się, zaczęli się znów bawić.

Asesor pił nadmiernie, chcąc w musującym winie utopić swe troski i zapomnieć znów na chwilę o pięknej Hortensji, której miłości nigdy nie mógł uzyskać, a której przyjaźń na zawsze utracił.

Ale nie udało mu się to w zupełności. Ordynarny śmiech Lizy raził go i działał mu na nerwy, cała ta orgia brzydziła, a mimo to został dalej i wychylał jedną szklankę po drugiej.

Twarz Felderna paliła się, oczy jego stawały się coraz bardziej zamglone. Mówił coraz niewyraźniej i rzucał się pół nieprzytomny. Tracił też naturalnie zawsze, a Liza i Krach wygrywali.

Wreszcie popatrzył asesor do swej sakiewki i wybełkotał ciężkim językiem:

— Toż ja u diabla nic więcej nie mam!

— Musimy też już przestać — rzekł Krach zupełnie trzeźwo — jest już piąta godzina nad ranem, trzeba iść do domu!

Wstał i złapał za kapelusz. Asesor poszedł za jego przykładem i wybełkotawszy z trudem pożegnanie, wyszedł. Krach chciał wyjść tuż za nim, ale Liza wstrzymała go i złapawszy go za ramię syknęła:

— Musisz mi dać jeszcze tysiączkę z wygranej sumy, bo inaczej opowiem całemu światu, żeś oszachrował asesora.

— Głupie stworzenie! — zawołał Krach — przecież tyś to samo robiła i zdradzając mnie, zdradzisz równocześnie i siebie!

Zaczęli się kłócić, lecz przerwali przestraszeni przeraźliwym krzykiem i stukiem, jakby upadającego z wysokości ciężkiego przedmiotu.

Liza wybiegła natychmiast, a Krach za nią.

W bladym świetle poranka, okazał im się straszny widok. Kamienne stopnie schodów były krwią zbroczone, a na dole leżał Feldern z roztrzaskaną czaszką.

Był on tak pijany wychodząc, że się potknął na pierwszym stopniu i stoczył się po wszystkich schodach na dół.



Karnawał dziecięcy na lodzie.

Zszedł więc z tego świata w zupełnie nieprzytomnym stanie i nieprzygotowany stanął przed sądem Przedwiecznego.

Tak skończył człowiek, hojnie od losu wyposażony, bo nie umiał utrzymać na wodzy swych namiętności.

Na krzyk Lizy i Kracha zbiegli się sąsiedzi. Zawołano lekarza, ale ten skonstatował tylko śmierć Felderna.

Wieść o tym nieszczęśliwym wypadku gruchnęła po całym mieście.

Policja zjawiła się niebawem, dla przesłuchania Lizy i Kracha, których uznano winnymi za to, że dali Feldernowi samemu odejść w niepoczytalnym stanie.

Skazano oboje za to na kilkumiesięczne więzienie.

Wyrok ten był okropnym ciosem tak dla próżnego Kracha, dla którego nawet wielka wygrana owej nocy nie była pociechą, jak i dla Lizy, która ciężko tym została ukarana, bo straciła swą posadę przy balecie i wyszedłszy z więzienia, coraz bardziej podupadała.

Nemezis okropnie ich oboje zemstą swą dotknęła!

ROZDZIAŁ CCLXXX.

Nowe ciosy

Wiadomość o śmierci Felderna, ogłoszowe wszystkich gazetach, zmartwiła Hortensję szczerze. Bolała szczerze nad okropną jego śmiercią i opłakiwała w nim dawnego swego przyjaciela.

Wkrótce po tym wypadku dostała wezwanie, aby się stawiła do kancelarii adwokata Notha, w sprawie opiekuńczej zmarłego asesora Felderna.

Młoda kobieta stawiła się o oznaczonym czasie.

Adwokat, siwy staruszek o sympatycznych rysach twarzy, obrzucił dziecinną, uroczą fizjognomię Hortensji wzrokiem wyrażającym zdziwienie i współczucie. Głos jego brzmiał miękko, gdy powiedział:

— Pani dobrodziejko, jestem w tym przykrem położeniu, że pani bardzo smutną wiadomość donieść jestem zmuszony!

— Co to może być? — zapytała Hortensja zdziwiona.

— Dotyczy to majątku pani — odpowiedział doktor Noth — nieboszczyk ojciec pani, zostawił 50.000 reńskich, pod administracją asesora Felderna, którego również przeznaczył pani na opiekuna. Ja znów objąłem sprawę Felderna i jakkolwiek przykro mi jest rzucać cień na pamięć zmarłego, to przecież z drugiej strony nie wolno mi ukrywać przed panią, że Feldern sprawy swe w największym nieporządku zostawił ,a co do majątku pani, wprost niesumiennie sobie postąpił. Włożył bowiem 20.000 reńskich w papiery, które obecnie zgoła nic nie są warte. Znalazłem przy nich list Kracha, który mu te papiery polecał. W tym wypadku więc Feldern sam został oszukany. Ale najsmutniejszą jest rzeczą, że prócz tych papierów nic więcej w kasie jego nie znalazłem. Podawałem do różnych gazet, aby się do mnie wszyscy wierzyciele i dłużnicy asesora zgłosili, ale dotychczas słyszałem tylko o jego wierzycielach. Zdaje się, że Feldern w ostatnim czasie bardzo rozrzutne życie prowadził, który nie tylko jego włosy, ale i pani majątek pochłonął. Nie będę oszczędzał trudu, aby uratować dla pani, co tylko będzie możliwe, proszę więc na razie nie tracić zupełnie nadziei.

Skończywszy, popatrzył adwokat niespokojnie na Hortensję, spodziewając się omdlenia, lub co najmniej spazmów, lecz ku przyjemnemu zdziwieniu swemu zobaczył Hortensję tylko spokojnie zamyśloną.

— Żal mi Felderna — rzekła wreszcie przytłumionym głosem — i miałam go do niedawna jeszcze za porządnego, honorowego człowieka.

Noth popatrzył na nią zdziwiony i przypuszczając, że ona nie pojmuje swego położenia, zapytał znów:

— Czy ma pani jakich krewnych lub przyjaciół, którzy by panią przygarnąć mogli? W najlepszym razie bowiem uratuję pani z całego majątku kilkaset reńskich, cóż pani z tym pocznie?

— Nie, nie mam nikogo na świecie — odparła Hortensja smutno — i myślałam właśnie przed chwilą, co ze sobą mam począć. Możebym mogła zarabiać na życie lekcjami muzyki i śpiewu?

— Chcę pani w tym być pomocnym — pocieszał ją adwokat ze współczuciem — moja najstarsza córka szuka właśnie pani, z którą by mogła grać na cztery ręce. Gdyby się pani tego chciała podjąć, to proszę jutro przyjść, dla bliższego omówienia.

— Jestem panu za to z całego serca wdzięczną, panie mecenasie! — zawołała Hortensja żywo.

— Jesteś pani najmądrzejszą kobietą w świecie — rzekł stary adwokat z podziwem — żadna inna kobieta nie przyjęłaby wiadomości o podobnej stracie z takim spokojem!

— Poniosłam w swym życiu o wiele cięższą stratę, niż strata pieniężna — odparła Hortensja spokojnie — ufam wreszcie Bogu, który mi widocznie zesłał pana w mej potrzebie, panie mecenasie.

— Proszę mi wierzyć, że zrobię, co tylko będzie w mojej mocy, moje dziecko — zawołał staruszek serdecznie — a jak pani będzie trzeba przyjacielskiej rady, to proszę się tylko do mnie zwrócić.

Hortensja podziękowała mu serdecznie i odeszła. Wracała do domu, pogrążona w zadumie, a rozczarowanie co do Felderna bolało ją rzeczywiście więcej, niż strata majątku. Wstąpiwszy do eleganckiego swego mieszkania, pomyślała zaraz o tym, że trzeba się będzie wyprowadzić i przypomniała sobie te dwa skromne pokoiki, w których z Leonem kilka szczęśliwych tygodni przeżyła. O wiele więcej jednak zmartwiła ją myśl, że się będzie musiała z Luigim rozstać.

Zawoławszy starego, wiernego służącego, uwiadomiła go o swej stracie.

Luigi przyjął tę wiadomość z całą żywością Włocha, zaczął przeklinać Felderna, za jego niesumienność i opłakiwać swoją panią.

— Co by nieboszczyk pan był na to powiedział — lamentował stary — gdyby swoją córkę w takiej biedzie zobaczył! Nie znalazłby nawet w raju spokoju!

— O, nie będzie tak źle, dobry Luigi! — pocieszała go Hortensja. — Adwokat obiecał mi, że wydostanie z tej sprawy jeszcze kilkaset reńskich dla mnie. Prócz tego posprzedajemy jeszcze całe urządzenie z wyjątkiem mebli, które mi ojciec podarował, i jednego pianina, a sądzę, że nam to dużo przyniesie. Pomyśl tylko, co to za drogie instrumenty muzyczne i kosztowne obrazy! Prócz tego będę jeszcze dawała lekcje muzyki i jakoś to na skromne życie wystarczy. Naturalnie — dodała smutnym głosem — że odtąd nie będę sobie mogła pozwolić na służbę i będę się musiała rozstać z tobą, kochany Luigi, chociaż mi to bardzo przykro będzie!

Stary, wierny sługa popatrzył na nią osłupiałym wzrokiem, wreszcie wyszeptał:

— Nigdy, przenigdy, signorino! Nie opuszczę pani aż do swej śmierci, bom nieboszczykowi panu swemu dał słowo, że nad jego dzieckiem zawsze czuwać będę. Słowa swego zaś nie złamię. Nie przyjmę żadnej innej służby, tylko najmę sobie jakiś mały pokoik w tym samym domu, w którym pani będzie mieszkała; ja od pani,

do końca życia, nie odejdę. Mam chwała Bogu z czego żyć i nie potrzebuję innej szukać służby. Mam swoje oszczędności i tych 2000 zlr. które mi nieboszczyk pan zapisał, a które na szczęście nie poszły w ręce pana Felderna; wystarczy mi to na życie przy pani, aż do śmierci!

Hortensja podała mu serdecznie rękę.

— Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Luigi — rzekła ciepło — i cieszę się ogromnie, że cię nie stracę! Jak by się nasz kochany zmarły twoją wiernością cieszył!

Luigi był ogromnie zadowolony i pomagał Hortensji w sprzedawaniu rzeczy. — Wreszcie obszerne mieszkanie się wypróżniło, bo wszystko poszło z wyjątkiem pianina i tych kilku pamiątkowych mebli, które Hortensja dla siebie zostawiła. Dochód z tej sprzedaży był dość znaczny i zabezpieczał młodą kobietę od nędzy.

Wkrótce sprowadziła się Hortensja znów do starego swego mieszkania, ale tak je teraz przystroiła obrazami, kwiatami książkami i pięknymi swoimi meblami, że było nie do poznania.

Na biurku ojca swego, poukładała Hortensja książki Leona i pozawieszała na nim jego fajki, szable i pistolety; w pewnej chwili zdawało się jej, że wraca pierwszy piękny czas ich pożycia małżeńskiego, ale bezpośrednio potem odczuła tym silniej swoją samotność i wybuchła gorzkim płaczem.

W silnym paraksyźmie żalu swego, miała jakby rodzaj wizji. Zdawało jej się, że przez otwierające się drzwi widzi wchodzącego Leona, z opaloną twarzą i błyszczącymi poważnymi oczyma. Czuła utkwiony w siebie pełen miłości wzrok jego i otwarte ramiona i rzuciła się na niego z dzikim okrzykiem radości. Ale nagle znikło widziadło, a ona tym silniej odczuwała swe opuszczenie.

Wkrótce jednak otrząsnęła się ze swej rozpaczy. Wstąpiła w nią nowa nadzieja, bo zdawało jej się, że widziadłem tym niebo daje jej znak, że Leon jeszcze żyje i że wróci. Ze świeżą odwagą, znosiła odtąd wszystkie przykre zmiany w mieszkaniu i w prowadzeniu domu.

Luigi najął sobie małą izdebkę w tym samym domu i mimo, że się zupełnie sam utrzymywał, uważał się dalej za służącego Hortencji; sprzątał, chodził po zakupy i odprowadzał ją, gdy kiedy wieczorem wyjść musiała.

Hortensja była mu za to nieskończenie wdzięczna.

Drogim, szczerym przyjacielem w potrzebie, okazał się adwokat Noth.

Poczciwy ten staruszek, widząc potrzebę Hortensji, zaproponował jej lekcję muzyki w swym domu, dwa razy tygodniowo i przyznał jej za to sute honorarium.

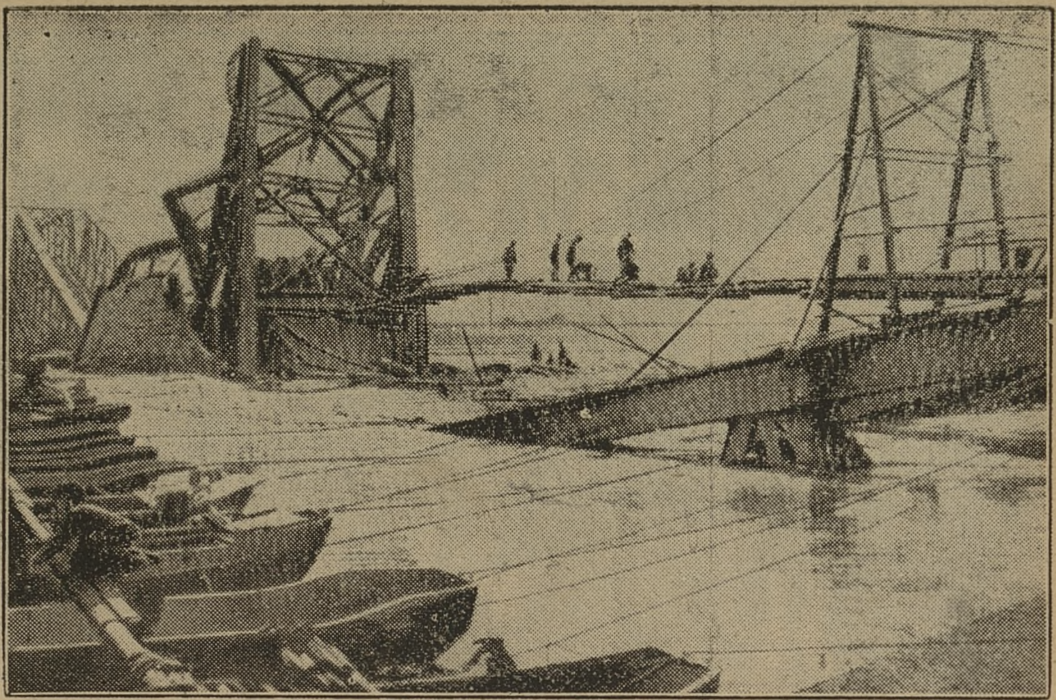
Odprowadźmy Hortensję na wstępną wizytę w dom Notha.

Szła ona tam nieśmiało i była zgrzana i zmęczona. Gdy się do willi zbliżała, zobaczyła na trawniku dwie panie i mężczyznę, grających krokieta i usłyszała wesoły śmiech.

Hortensja zbliżała się coraz wolniej i nieśmiało w nadziei, że ją spostrzegą, ale ta trójka zanadto w grze swej była zatopiona, aby na nią zwrócić uwagę.

Dopiero gdy już była tuż obok nich i nieśmiało się ukłoniła, przystąpiła jedna z panien do niej i zapytała:

— Z kim mam przyjemność?



Zdjęcie przedstawia zburzony w czasie odwrotu przez Chińczyków most na rzece Żółtej w Chinach.

— Nazwisko moje jest Waldau — odparła Hortensja — pan mecenas zamówił mnie na 11-tą godzinę rano, abym z panną Noth na cztery ręce grała.

— Ależ ja całkiem o tym zapomniałam — zawołała panna Noth w komicznej rozpaczy — mój Boże, co ja mam zrobić? Czy nie szkoda tej pięknej partii krokieta?

— Jestem Waleska Noth — dodała po chwili, przedstawiając się.

— Jeżeli to pani nie na rękę, to ja kiedyindziej przyjdę — rzekła Hortensja.

— O, nie, — zaprotestowała panna Noth, której ojciec ostro nakazał być dla pani Waldau bardzo grzeczną — wie pani co? Niech pani zostanie i gra z nami krokieta ,bo nam i tak jedna osoba brakuje, a potem będziemy jeszcze trochę brzdąkali, aby ojca zadowolić.

Proporcja ta bardzo była nie w smak Hortensji, która swój obowiązek sumiennie chciała spełnić, ale Waleska tak nalegała, że się jej nie można było oprzeć.

Panna Noth przedstawiła ją reszcie towarzystwa, ale tak roztrzepanie, że nazwała Hortensję „panią Walter", nazwiska drugiej damy wcale nie wymieniła, a tego pana przedstawiła jako asesora Hellmuta.

— Pani zanadto łaskawa, że mi daje awans — zaśmiał się młody człowiek — bo jestem dopiero referendarzem.

— Kończymy zaraz naszą partię — zawołała Waleska z poważną miną — może pani będzie tymczasem łaskawą przypatrywać się nam, dopóki nowej nie zaczniemy?

— Wolałabym w ogóle tylko się przypatrywać — odparła Hortensja — gram bowiem tak źle, że zepsułabym państwu tę partię.

— Nie, na to nie pozwolę — zawołała panna Noth — pani by się na śmierć zanudziła, przypatrując się nam. Nic nie szkodzi, że pani nie wyćwiczona, tym lepiej dla nas!

Była tak stanowczą, że Hortensja nie mogła jej odmówić; byłaby się jednak chętniej przypatrywała, raz dlatego, że rzeczywiście nie była biegła, a po drugie, że uczyła się gry tej u Leona w pierwszym czasie ich pożycia małżeńskiego i grali nie jedną partię razem, wśród żartów i śmiechu.

Siedząc na krześle ogrodowem i przypatrując się grze, obserwowała Hortensja grających, a szczególnie przyszłą swą uczennicę.

Waleska Noth była przystojną 23-letnią może dziewczyną o falistych ciemnych włosach, perkatym nosku, szerokich ustach i pięknych zębach. Z usposobieniem zdawała się być okropnie rozstrzepaną, a w ubiorze dość niedbałą.

Wysoka jej fryzura zsunięta była na jeden bok ,a szpilki z niej się wysuwały. Elegancka suknia podarta była w kilku miejscach, a przy staniku brakował guzik. Z pod spódnicy zaś zwisał obdarty sznur.

Za to druga panna wyglądała jak lalka. Panna Noth nazywała ją „Ann", lub „kuzyneczką" a młody referendarz „łaskawą panienką."

Wyglądała na lat blisko trzydzieści i widocznie bardzo o swoją cerę dbała, bo prócz dużego kapelusza, miała jeszcze gęsty welon, a ręce okryte długimi rękawiczkami z irchowej skóry.

Referendarz Hellmut był bardzo wysokim, szczupłym i wymokłym blondynem, w którego twarzy uderzał najbardziej złoto oprawny monokl.

Kokietował on Hortensję od pierwszej chwili jej przybycia i to tak bezczelnie, że jej to wprost nieprzyjemnym było.

Po skończonej pierwszej partii, nastąpiła druga, w której i Hortensja brała udział. Losowano, kto z kim ma grać, i Hortensji przypadł pan Hellmut. Grała bardzo dobrze i Waleska wciąż ją chwaliła.

Hortensja uczuła dla córki nowego swego opiekuna od razu żywą sympatię za jej dobrotliwe i bezpretensjonalne usposobienie, ale nie znosiła wymokłego referendarza.

Po skończonej partii zaprosiła Waleska całe towarzystwo na śniadanie, a wchodząc do mieszkania, rzekła do Hellmuta bez ceremonii:

— Niech pan tymczasem idzie do sypialni, panie referendarzu, ciotka pewno tam już będzie. My musimy trochę uporządkować naszą toaletę!

Zaprowadziła obie damy do swojej sypialni, gdzie dość nieporządnie wyglądało i podała im wodę do mycia.



Siostry króla albańskiego, księżniczki Ruhije, Maxhide i Myzejcu przybyły do Stanów Zjednoczonych, ażeby przyjrzeć się tamt. urządzeniom socjalnym i opiece nad młodzieżą. Na zdjęciu harcerki pokazują księżniczkom swe robótki.

Anna zaczęła się bardzo gruntownie odświeżać, podczas gdy Waleska po omyciu rąk i po nieudanej próbie zesunięcia fryzury swej na środek, była gotowa.

Gdy Hortensja złożyła kapelusz, aby się trochę przygładzić, patrzyła się Waleska na nią przez chwilę zdziwiona, a potem zawołała:

— Teraz dopiero widzę, jaka pani cudowna, pierwej nawet tego nie spostrzegłam. Popatrz na nią, Anno, czy nie wygląda ona jak obraz?

Hortensję zawstydził ten głośny podziw, ale w następnej chwili Waleska przyskoczyła do niej i rzuciwszy się jej na szyję, zaczęła ją całować.

— Niech się pani na mnie nie gniewa! — zawołała — ja tego źle nie myślałam, ale tak byłam zafrapowana, że się wstrzymać nie mogłam. Ile lat pani ma właściwie?

— Siedemnaście — odpowiedziała Hortensja.

— Mój Boże, i już wdową — chciała Waleska powiedzieć, ale się wstrzymała i dodała — nauczycielką! — I jeszcze do tego moją nauczycielką, która jestem o całych 5 lat starsza! Ale za to nic a nic nie będę posłuszna!

— Jesteś już gotowa z twoimi bzdurstwami — rzekła Anna chłodno — to wejdziemy do jadalni.

W jadalni wytężał się tymczasem Hellmut, aby zabawić ciotkę starszą, sympatycznie wyglądającą, ale ogromnie głuchą damę.

— Cudny dzień, pani dobrodziejko — huknął jej do ucha, gdy Waleska wchodziła ze swojemi towarzyszkami.

— Na to brat mój nigdy nie pozwoli — odpowiedziała ciotka, której się coś innego przysłyszało.

— Cioteczka pozwoli, że jej przedstawię panią Waldau — rzekła do niej Waleska głośno, to jest nowa pupilka papy!

Ciotka domyśliła się widocznie o co chodzi, bo podała Hortensji rękę i powiedziała, że się spodziewa mieć częściej przyjemność widzenia jej u siebie.

Zasiedli do stołu, a zgrabna pokojówka podała kilka ciepłych i zimnych dań. Ciotka robiła honory domu; zapraszała do jedzenia i śmiała się dobrotliwie widząc, że inni się śmieją.

Waleska usiadła obok Hortensji i mówiła bez ustanku. Opowiadała jej, że ojciec dopiero wieczorem przychodzi do domu i że oni dlatego dopiero o 7-mej wieczorem obiadują, że jej matka nie żyje, ale że ona ma jeszcze młodszą siostrę, która się w klasztorze wychowuje itd.

Referendarz zabawiał się z Anną i miał sobie za obowiązek przemówić od czasu do czasu do ciotki, która dom reprezentowała.

— Dokąd się pani dobrodziejka tego lata wybiera? — huknął jej znów do ucha.

— O, rozumiem! — odpowiedziała ciotka ucieszona — pan się pyta, czy to karpie? Nie, to jest węgorz, o tej porze roku nie ma karpiów. Czy nie uważasz Walesko, że się mój słuch teraz trochę polepsza? — zwróciła się ona do bratanicy — zdaje mi się, że rozumiem teraz każde słowo.

— Ależ tak, cioteczko — zawołała Weleska uprzejmie, a biedna ciotka była uszczęśliwiona.

Referendarz i Anna z trudnością ukryli uśmiech, ale Hortensja popatrzyła się na nią z współczuciem.

Po śniadaniu zawołał Waleska:

— Teraz będziemy grać!

To rzekłszy, pociągnęła Hortensję za sobą, a reszta towarzystwa wyszła za nią.

— Referendarz otworzył kosztowny fortepian, podciągnął zasłony i zapytał jakie nuty ma wybrać.

Waleska tymczasem usiadła w wygodnym fotelu i wyciągając się odpowiedziała:

— Ach, Boże mój, jestem taka najedzona i zmęczona i leniwa! Wie pani co, pani Waldau? Niech pani nam coś zagra, albo zaśpiewa!

Hortensja usiadła do fortepianu bez najmniejszych ceregieli i po krótkim preludium zaczęła śpiewać. Była to rzewna pieśń Geibla, o sercu ludzkim, które po pewnym czasie, zapomina tak cierpienia jak i radości.

Ledwie skończyła, posypały się żywe oklaski, z wyjątkiem Anny, która w ogólnym entuzjaźmie nie brała udziału.

Hortensja słuchała niechętnie, niesmaczne komplementy referendarza, ale szczery podziw Waleski bardzo ją cieszył.

Na prośbę jej zaśpiewała jeszcze jedną pieśń, a potem zapytała:

— Możebyście teraz coś na 4 ręce zagrały, panno Walesko?

— Obiecuję pani na przyszły raz być bardzo pilną — zapewniła ją Waleska — ale teraz niech pani jeszcze zaśpiewa, słowiczku nasz!

Hortensja zaśpiewala jeszcze kilka pieśni, a gdy goście rozeszli się i Waleska nie miała potem chęci do grania, pożegnała ona się z nią i także odeszła.

Przechodząc aleją, zobaczyła ku wielkiemu swemu niezadowoleniu referendarza Hellmuta, który stał przy jednym z drzew i bardzo uważnie jej się przypatrywał.

Wydawało się jej to trochę podejrzanym, że on dopiero jest na tym miejscu, bo przeszło kwadrans upłynął, od jego wyjścia z willi Nothów. Spodziewała się, że jej się uda przejść obok niego niespostrzeżenie, ale ledwo się do tego miejsca zbliżyła, odwrócił się referendarz i ukłoniwszy się uprzejmie, zawołał:

— Co za przyjemna niespodzianka! — Czy pozwoli się pani odprowadzić?

— Mam zamiar pojechać tramwajem — powiedziała Hortensja chłodno.

— I ja także — zawołał Hellmut, który się nie dał tak prędko zbić z tropu.

Szedł obok niej, jak gdyby się to samo przez się rozumiało i gadał różne bzdurstwa, robił głupie miny, nie zwracając uwagi na chłodne obejście Hortensji.

Ale w tym przypuszczeniu bardzo się omyliła, bo gdy wysiadała, referendarz wysiadł również i znów zapytał:

— W którą stronę pani teraz idzie?

Ledwo usłyszał jej adres, rzekł, że ma tę samą drogę do swego mieszkania i szedł dalej, obok niej, gadając nieznużenie i wpatrując się w nią bezczelnie.

Hortensja odetchnęła, gdy zobaczyła swoją kamienicę i ukłoniwszy się lekko na pożegnanie, weszła do bramy.

Otworzywszy drzwi swojego mieszkania, padła znużona na krzesło i zaczęła uświadamiać sobie wrażenia tego dnia.

O ile sympatyczną wydawała się jej Waleska, o tyle nieprzyjemnym był jej Hellmut i nie mogła otrząsnąć się z przeczucia, że ten człowiek będzie jeszcze powodem wielu przykrości dla niej.

Panna Noth oznaczyła Hortensji dzień następnej ich lekcji w obecności Hellmuta.

Hortensja stawiła się w oznaczonym czasie i lekcja punktualnie się zaczęła, przyczem się okazało, że nowa uczennica jej dość nędznie gra i jeszcze gorzej śpiewa.

Później zaczęła Waleska znów wesoło gawędzić, i w otwartości swej przyznała się Hortensji, że jest z Hellmutem prawie jakby zaręczona.

Młodej kobiecie wiadomość ta wielką przykrość sprawiła, bo żal jej było Waleski dla tego nędznego referendarza.

Hortensja została tego dnia na obiedzie u Nothów, gdy się dowiedziała, że sobie mecenas wyraźnie tego życzył.

Niebawem zjawił się referendarz i udał wielkie zdziwienie na widok Hortensji.

— Czy panie teraz codziennie grywają? — zapytał.

Ciąg dalszy na str. 233.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

W OCZEKIWANIU WIOSNY

Podaruję tobie upominek słów
serdecznych...
umajonych kwiatami łąk i pól...
Podaruję tobie upominek słów
serdecznych:
gorycz — zawody — i ból.

Posplatasz je w barwny wieniec,
rozzłocisz słońcem wschodzącym,
gdy wiosna spojrzy w twe oczy,
— w wiośnie się miłujące...

Kiedy pąkowiem zielonym
dojrzeje radość stulistna
w gałęziach drzew rozłożystych —
gdy strumień zaszemrze
baśń księżycową,
melodią fal srebrzystych.
Twoją będzie ta wiosna
opromieniona radością dni...
Pamiętasz, pamiętasz jeszcze?
nasz wieczór...
otulony w kwitnące bzy?...

Józef Baranowski.

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są p. p.: „Avery", „Marzący Roman", „Szatynka z ks.", „Smutna i brzydka Irka", „Samotna Dusza", „Lang Cheng", „Słodka Dari", „Biała Różyczka" i „Miła Cyganka".

KTO NAPISZE?

„Farida". „Trzy razy chodziłam na pocztę i ciągle na próżno — „Powieści" nie nadchodziły. Aż nareszcie dziś raniutko, wstąpiłam i szczęśliwie pierwsza otrzymałam jeden egzemplarz. Już po drodze wczytałam się w miłutkie słowa, skierowane do mnie. Do mnie! Och, jak to przyjemnie! W tej chwili wróciłam z pracy. Mam zaledwie godzinę na obiad, postanowiłam kilkanaście minut zużyć na napisanie paru słów podzięki dla Kochanej Pani Zosi i zasłać moc całusów dla „Krainy".

Proszę napisać „Krainiakom", że pragnę ich serdecznie pokochać i bardzo nieśmiało zapytuję, kto pierwszy napisze do „Faridy"?

Ponieważ „S. 13" jest samotny i nieszczęśliwy, może zechciałby napisać do mnie, ręczę, że odpowiem na każdy list.

Halo! Czy znajdzie się w „Krainie" ktoś z Białowieży, kto chciałby do mnie napisać?

Poza tym wzywam wszystkich z „Rodziny", zamieszkałych po chatkach i leśniczówkach oddalonych od gwaru miejskiego, aby zechcieli ofiarować mi parę serdecznych słów.

„Fakirze", mam 100 proc. pewności, że się znamy. Czy pańskie nazwisko zaczyna się na P.?

„Czarnulko z Grudziądza" — napisz do mnie, mam ochotę prosić Cię o coś".

Pozdrawiam Cię serdecznie, „Farido", i życzę dużo radości w korespondencji z „Rodzinką".

TRUDNO UWIERZYĆ!

„Boluś". Czy naprawdę, „Bolusiu", nikt z „Krainy" nie pisze do Ciebie? Trudno mi w to uwierzyć, gdy wezmę pod uwagę, że do „Krainy" należysz już dawno! Dawałam już w lecie zeszłego roku Twoją podobiznę w „Krainie" i pamiętam, że interesowano się Tobą dość silnie — zapewne zlekceważyłaś początkowe zainteresowanie, a teraz Ci go potrzeba. Wierzę, że niedługo nawiążesz obszerną korespondencję — przecież Ty to cudownie umiesz!

A teraz słowa, które przeznaczasz dla „Te — Em'a":

„Te - Em". Ogromnie dziwi mnie pretensja Pana — cóż zawiniłam? Gdybyśmy się znali, to może było by uzasadnione, ale ja nie mam pojęcia ktoś Ty i gdzie przebywałeś na wakacjach. Może wytłumaczysz i zrozumiesz, że niesłusznie mnie dotknąłeś.

„Białej Uajali" ślę słowa uznania za wierszyki, a może Ty mi poświęcisz maleńki wierszyk — smutno nam obu, zdaje się. — A może mogłabym napisać liścik?

„Cyganko ze smutnymi oczyma" ślę Ci pozdrowienia, dlaczego milczysz tak uparcie — czyż trudno zdobyć się na słów kilka?

„Tabu - Dzinko" ślę Ci milutkie pozdrowienia na odległość.

Wszystkim, którzy w „Krainie" słali mi słowa pozdrowień — odwzajemniam się szczerze!

DWIE...

„Uśmiechnięte Kaszubianki". Są dwie — jedna blondynka, druga szatynka. Mieszkają w miłym miasteczku w „Szwajcarii Kaszubskiej", która znana nam jest z pięknych bardzo jezior i lasów. Teren mają wymarzony do wszelakich sportów, więc też uprawiają go z entuzjazmem. Jeżdżą na nartach, łyżwach — w lecie pływają.

Niemniej, chętnie nawiążą miłą korespondencję w celu wymiany myśli.

Wszystkich, którzy piszą w „Krainie" wiersze, pozdrawiają serdecznie i proszą o poświęcenie i im jakiej zwrotki. A w ogóle proszą o listy!

Moc pozdrowień specjalnych przesyłają „Białej Uajali", „Przybłędzie leśnemu", „Wesołej Pomorzance", „Blondynowi spod Grudziądza" i „Heńkowi".

Dla całej „Krainy" serdeczności, uśmiechy i prośba o pamięć!

Adres ich: poste - restante Kartuzy, dla „Uśmiechniętej Kaszubki".

WIOSNA

Jeszcze mnie wcale nie ma,
jeszcze nie czas na wiosnę,
ale przyjdę niedługo potężna,
w koronach drzew się rozrosnę.
Listkami zacznę powiewać
i kwieciem wokół zakwitnę,
słońce mi poda uśmiechy,
a niebo — usta błękitne.
Ptaszkom rozkażę powrócić
i pierwsze wrócą skowronki,
w górze pod słońcem się ozwą,
jakby zawisłe tam dzwonki.
Strumykom wodę ogrzeję
i łąki nad brzegiem ukwiecę,
błękitem nieba się przejrzę
w cicho płynącej rzece.
Każdy mi powie: żem cudna,
że moje życie radosne,
gdyż po zieleni i kwiatach
łatwo mnie poznać — wiosnę!

Tadeusz Rawicki.

PAMIĘTAM O PANU

„Juvenalis". Cieszę się bardzo, że już Pan powrócił i znowu nawiązuje nie ze swej winy przerwany kontakt z „Krainą". Pamiętano tu o Panu i często miałeś pozdrowienia i serdeczności.

A Pan przesyła całej „Krainie" moc najszczerszych pozdrowień, zaś specjalne dla tej „Krainianki", którą interesują problemy psychologiczne, a mianowicie dla „Carmen". Równocześnie oznajmia jej Pan swą chęć i wolę roztrząsania ich we wzajemnych listach.

DLA „KRAINY" UŚMIECH POWRACAJĄCEJ WIOSNY!!

„Złote Jabłko". Dziękuję Panu za tak serdeczne życzenia i odwzajemniam je szczerze. Z przyjemnością donoszę, że list Twój ucieszył mnie i wniósł ze sobą jakąś nieokreśloną radość. Powiało od niego rzeźwą młodością i przejmującą, bujną siłą wiosny. Aż mimowoli podniosłam głowę znad biurka i rozjaśnionym nagle wzrokiem objęłam słoneczną smugę, ostro odcinającą się od szarości cienia, obejmującego resztę muru przyległego domu.

Słusznie Pan zauważył, wiosna już powraca, a jej wymowne forpoczty — śnieżyczki, krokusy i bazie leszczyny radują już nasze oczy. W powietrzu jest już też specyficzny przedwiosenny zapach i na drzewach wyrastają drobne pąki. Cieszmy się — wraz z wiosną wszystko pojaśnieje i dziwnie się rozsłoneczni!!!

Nie mam zupełnie nic przeciwko temu, aby pisał Pan i następne listy na maszynie, przeciwnie, mogę szczerze wyznać, że lepiej i szybciej odczytuję je niż pisane ręcznie, bo wiadomo, że co człowiek, to inne pismo i niejeden pisze mocno, oj mocno nieczytelnie!!!

Wujka Janusza — zgodnie z życzeniem, pozdrowiłam i wręczyłam mu wierszyk Pana.

A teraz komunikaty:

„Słodka Dari" — przepraszam jak najmocniej za uczyniony zawód, ale obecnie mam tyle pracy, że nawet na krótki liścik trudno mi się zdobyć. Jolę z Czerska — pozdrawiam i ściskam „białe łapki". Całej „Krainie" ślę uśmiech słońca, powracającej wiosny!!!

PO NADESŁANIU ADRESU

„Złotowłosa blondyneczka B." Przyjmę Cię do „Krainy", ale wpierw musisz mi nadesłać swój dokładny adres i przyrzec, że będziesz się starała być bardzo rozsądną i mniej wylaną w korespondencji. Przecież Ty uczucia i myśli wyrzucasz z siebie niepohamowanie i jak na tacy podsuwasz je z rozrzutnością lekkomyślną postronnym. A ludzie są różni i nie wszyscy szczerością odpłacają za szczerość, otwartością za otwartość i sercem za serce!... Zdarzają się nader często tacy, którzy z takich, jak Ty, ufnych duszyczek potrafią zażartować, zakpić nielitościwie. Tego się właśnie boję dla Ciebie. Dlatego też powtarzam prośbę o to, abyś wszystko, co czynisz, czyniła po pewnym namyśle i rozwadze. Zgoda?

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i czekam na następny list, po którym przyjmę Cię oficjalnie do naszej „Krainy".

CZEKAM!

„Maryla spod Wągrówca". Napisz mi, Kochana, czy już jesteś w Poznaniu, czy zadowolonaś ze zmiany miejsca pobytu i pracy i czy poznałaś „Zbijobruka poznańskiego". To wszystko musisz mi wyjaśnić, szybko, szybko — nie mogę pozostawać tak długo w niepewności! Życzę Ci pomyślności i czekam!

PRAGNĘ PRZYJŚĆ Z POMOCĄ

„Irena K. z Aleksandrowa". List Pani ogromnie przypadł mi do serca dzięki temu, że bije szczerością i w niewyszukanych, a jednak delikatnych słowach przedstawia Jej nader trudne położenie. Pragnąc przyjść Pani z konkretną pomocą, dałam ogłoszenie w „Mojej Przyjaciółce" pod szyfrem „Brak pracy".

Sądzę, że znajdzie Pani za pomocą tego ogłoszenia upragnione zajęcie. Proszę mi jednak w jak najszybszym czasie nadesłać dokładniejszy adres.

Pozdrawiam Panią serdecznie i czekam na adres!

PRZESYŁA

„Wesoła Tusia spod Grudziądza" cieszy się ogromnie z faktu przyjęcia jej do „Krainy" i przesyła mnóstwo komunikatów:

„Halo! „Smutna i brzydka Irko" — dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je serdecznie. Gra Pani rolę ładnego chłopca, więc chłopcu wypada napisać naprzód. Czy nie tak? Odpowiedź murowana!

„Zofia z Gr." Odwzajemniam pozdrowienia i proszę o liścik.

„Orion" — dziękuję za pozdrowienie i zasyłam wesoły uśmiech.

„Myśliwy". Na skargę Pana — odpowiadam znanym mi przysłowiem: „U myśliwego krew zimna do zwierzyny, a gorąca do dziewczyny". Czy mam słuszność?

„Zawiedziony". Proszę się nie gniewać — zasyłam moc pozdrowień i uścisk dłoni.

Pozdrowienia dla „Elem n. Notecią" i „Przybłędy leśnego". Ja mieszkam także przy lesie, a lubię las bardzo.

Całej „Krainie" serdeczności!

KOMUNIKAT

„Romero". Za pozdrowienia uprzejmie dziękuję, odwzajemniając je z przyjemnością.

Komunikat zamieszczam:

„Halo! „S. 13". Po przeczytaniu w „Krainie" niniejszych słów, wyślij list pod adres niżej podany — odpowiedź i życzliwość zapewniona!

Przesyłam Ci, nieznany Braciszku, miłe pozdrowienia! Adresuj: poste - restante Skoki, pow. Wągrowiec, dla „Romero".

DNI PRZESZŁE

Gdy myślę o dniach przeszłych,
tak mi przedziwnie żal,
że te urocze chwile
zbiegły na zawsze w dal.

Tak dobrze nam było z sobą,
tak się paliły sny,
gdyśmy w uścisku trwali
oboje: ja i ty.

Dziś ja tu pozostałem
bez ciebie, taki sam...
i tyś także samotna
w tym oddaleniu tam.

A może to cudowny,
piękny sen jeno był,
skoro wichr życia tak go zmiótł,
jak zwiędły liść, bez sił?

Adam Czekalski.

PROSZĘ!...

„Hawajska Gitara". Szczególny pseudonim wybrałaś sobie, Dziewczynko, ale miej go już, skoro Ci się podoba.

Posłuchajcie, „Krainiacy", jak przedstawia Wam się nasza nieznajoma:

„Szukam w „Krainie" jakiejś bratniej duszy, która by osłodziła mi i ubarwiła miłymi listami szarość i monotonię życia.

Jestem młodą blondynką o dużych, marzących oczach, podobną do cyganki, ponieważ każdego lata opalam się na ciemny brąz. Lubię bardzo śpiewać, tańczyć smętne tanga, słuchać dźwięku gitar hawajskich, za którymi przepadam? Dużą rozrywką jest mi radio oraz rower, na którym ujeżdżam po polach i lesie, odbywając dalekie wycieczki.

Pozdrawiam serdecznie „Kraine", a najbardziej sympatyczki i sympatyków z okolic Wrześni.

Dla „Anetki III" ślę dużo pozdrowień i proszę o liścik — odpowiedź pewna.

Wszystkim, którzy piszą w „Krainie" piękne wierszyki, przesyłam słowa uznania i proszę cichutko o poświęcenie i mnie maleńkiego wierszyka."

PRZYJMUJĘ!

„Hinduska II". Przyjmuję Panią do „Krainy" z życzeniem, abyś czuła się w niej możliwie najlepiej. Ponadto przedstawiam Cię oficjalnie wszystkim członkom naszej „Rodzinki":

Otóż „Hinduska II" jest to młodziutka mieszkanka wsi, podobno bardzo uroczej, okolonej jeziorami, łąkami i lasem.

Nasza nowa siostrzyczka ma jasnoblond włosy i oczy ciemno - niebieskie. Aha! byłabym zapomniała — Złote włosy splata w długie warkocze wbrew modzie, za którą gonia przecież tak bardzo prawie wszystkie kobiety.

Obecnie czuje się nieco osamotniona i dlatego bardzo prosi, aby „Krainiacy" zechcieli napisać do niej dużo listów.

Całej „Krainie" przesyła serdeczne słowa przyjaźni ze specjalnym uwzględnieniem „Maleńkiej Dzidzi", „Rusałki" i „Reda".

HALO!

„Czarnulka ze Świecia". Halo, „Laila" — tu „Czarnulka ze Świecia", odwzajemniam pozdrowienia i z niecierpliwością czekam na liścik. Na razie milutkie — pa!

JEŻELI...

„Japonka". Nie gniewam się, a przeciwnie, zadowolona jestem, że piszesz tak szczerze. Fotografię, jeżeli będzie ładna i dobra do reprodukcji — zamieszczę.

Na nudy najlepszym lekarstwem jest praca — jeżeli masz zajęcia mało, znajdź sobie jakąś specjalność, np. robótki ręczne, gotowanie, szycie itp. Będzie to przyjemne w połączeniu z pożytecznym, a wyłączające nudy, spędzanie czasu.

Na pytanie ostatnie nie mam niezawodnej rady — nikt nikogo nie zmusi do kochania. W tym wypadku, Dziewczynko, musisz sięgnąć do skarbnicy kobiecej intuicji, która Ci zdradzi, czy masz szanse wygrania, czy nie. Jeżeli poczujesz, że je mieć mogłabyś, postaraj się, ściągnąć do zwartego szeregu wszystkie swoje atuty i zagraj nimi — może uda Ci się sprawę przechylić na swoją korzyść. Jeżeli natomiast przeczujesz, że wzajemność jest wykluczona na teraz i potem — odrzuć jak najdalej od siebie najmniejszą nawet myśl o tej osobie, zamknij mocno, najmocniej szufladkę, w której umieściłaś to uczucie i... zapomnij! Powiedz sobie twardo (wiem, że nie jest to łatwe) iż osoba ta nie istnieje i nigdy już istnieć nie będzie dla Twego uczucia. Podkreślam, że dla uczucia, bo fizycznie człowiek ten naturalnie będzie istniał dalej, będziesz go może nawet widywała, spotykała, a może nawet będziesz prowadziła z nim grzeczne rozmowy. Wszak nic Ci nie zawinił, więc dlaczego miałabyś go unikać?!

Niemniej dla uczucia Twego z chwilą, gdy postanowisz, człowiek ten winien odpaść. Zobaczysz, że nie takie to znowu trudne, że przyzwyczaisz się stosunkowo szybko do myśli, że nie pragniesz już tego, co do niedawna było Ci niby wszystkim, że Cię to już później tak silnie boleć nie będzie, że przyjdzie znieczulenie, inaczej zwane obojętnością, aby wreszcie zamienić się w nagłe i równie żywe, jak niespodziewane, zainteresowanie kimś innym. I to będzie chwila, w której poczujesz się znowu pełną rwącej energii, zapału i werwy. Wówczas mowy nie będzie o... nudach! I żebyś wiedziała, że i praca będzie Ci się wówczas — niech się tak wyrażę — paliła w rękach.

Życzę Ci jednego z tych zwycięstw i cierpliwie będę czekała na wiadomość, że ono już nadeszło.

OBY!...

„Ada — Marzycielka". Miło mi było przeczytać Twój liścik i stwierdzić, że jesteś zadowolona. Oby tak zawsze było!

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i przechodzę do Twoich komunikatów:

„Bardzo chętnie nawiążę korespondencję z „Młodym Marynarzem z Żaglowca". Tylko on musi pierwszy do mnie napisać.

Pozdrowienia dla „Blanki", „Bajkału" i „Samotnego — Chorzów I".

Panie Feliksie Płócienniku — uznanie dla pańskich wierszyków! Może poświęci Pan jeden mnie. Cieszyła bym się bardzo.

JEST OBOWIĄZEK

„S. 13". Rzeczywiście pomyślałam sobie, że: „Ot wygaduje dziwne rzeczy!" — i to bez większej racji, bo zdawało mi się, że „Krainiacy" wcale wyraźnie wyróżniają osobę Pana. Czyżby tak nie było?

Prosi mnie Pan o zaapelowanie w Jego imieniu do „Rodzinki" o życzliwość i pamięć, co niniejszym czynię. Sądzę, że nie pozostawią — zwłaszcza „Krainianki" — tego apelu bez echa!

Życzę Panu powodzenia i zadowolenia w korespondencji oraz kładę na serce obowiązek częstszej rozmowy listownej z nami.

CZEKAMY!

„Tartuk". List przesłałam, lecz nadmieniam uprzejmie, że zbyt lakonicznie zwracasz się do mnie z prośbą tą, czy inną. Czy zamarzłeś tam daleko? Jeżeli tak, to jest nadzieja, że wraz z pierwszymi podmuchami nadchodzącej wiosny odtaje i Twoje twarde, lodowate serce. Czekamy na tę chwilę — pamiętaj!

Teczka Wujka Janusza

VETO!

„Blanka". O nie, Droga „Blanko", o zmianie pseudonimu nie może być mowy. Najpiękniejsza nazwa nie zastąpi nam tej bardzo miłej i kochanej nazwy — „Blanka". Stawiam veto i pewny jestem, że równocześnie ze mną wszyscy Sympatycy i Sympatyczki mej „Teczki".

A teraz kilka słów, co do poruszonej w liście sprawy: otóż, biorąc rzecz bezstronnie, pierwszy wypadek może być wytłumaczony, natomiast drugi nie. Prawdziwy dżentelmen jest zawsze punktualny i konsekwentny i nigdy nie potrzebuje się tłumaczyć „przyczynami niezależnymi". Odmową w pierwszym wypadku niepotrzebnie się Pani zraziła. Trzeba tę rzecz wziąć na trzeźwo i naturalnie. Nieraz bowiem zdarzyło się, że ten i ów, pomimo pilnej i ważnej pracy, wybrał się na „parę minutek" do kogoś miłego i tak jakoś zasiedział się i rozproszył, że na śmierć zapomniał o „paru minutkach" i dopiero po upływie kilku godzin przypomniał sobie o swoim obowiązku. Zdenerwowany zabrał się do pracy, ale nie wykonał jej ani dobrze ani całkowicie i poczuł do siebie żal. Z powyższego więc wynika, że osoba, która zawiodła Panią, nie powinna w oczach Pani stracić, ale zyskać. Przełożyła bowiem obowiązek nad przyjemność.

Wiersze Pani — „Wiosenna noc", „Zgasło słońce", „Ty" i „Nie warto" — pójdą do druku.

Życzę Pani dalszego natchnienia, pozdrawiam i jak zwykle czekam na nowy znak.

„Zefi"! Serdeczne pozdrowienia, napisz, do mnie, o ile zechcesz.

„Ciemnooka Irko"! Dziękuję za tyle miłych pozdrowień. W rewanżu całusy.

„Irka Wielkopolanka"! — O ile zdobyłabyś się dla mnie na liścik, bardzo się ucieszę i nie omieszkam odpowiedzieć Milusi.

„Słodkiej Danuś", „Kochaniu" i „Brzydkiej Lei" — pozdrowienia!

„Łukasz"! Chciałbyś mnie poznać?! Nie warto, jestem smutna i brzydka.

„Czarny Hajduczku", Moje Słonko, kocham Cię i myślę zawsze tak samo. Ściskam mocno swoją miłą Trójkę". Pa!

CIENIOM „STELLI MARIS"

Odeszłaś tak cicho, jak sen jaki złoty,
Ty, która inne ukochałaś życie,
Dusza Twoja rwała się w podniebne loty,
Za szczęściem wiecznym tęskniąc wciąż w ukryciu.

Odeszłaś bez żalu do świata i ludzi,
Choć w sercach naszych żal został po Tobie,
Już jednak żadna moc Cię nie obudzi,
Bo snem wieczystym spoczywasz dziś w grobie.

Odeszłaś w kwiecie młodości tak cichutko,
W blasku wiośnianej, przecudnej urody,
Lecz droga Twa była mozolna, choć krótka,
Bez słońca było Twoje życie młode.

Odeszłaś na zawsze tam gdzie żal nie żyje,
Ty idealna, szlachetna istoto,
Zabiła Cię tęsknoty szalonej siła,
Bo czemże było Twe życie... tęsknotą.

„Blanka".

W TEN SPOSÓB PODCHODZIĆ NIE MOŻNA...

„Ungar". W ten sposób do „Teczki" podchodzić Pan nie może, gdyż nie drukuje się w niej żadnych literackich doskonałości, ale próbki początkujących poetów. Trzeba więc wziąć pod uwagę tę różnicę i „nie ostrzyć sobie zębów" na tym, co jest bezpretensjonalne i nie brać za fałszywą monetę tego, co jest wprawdzie drobną monetą, ale prawdziwą. Przesyłam Panu pozdrowienia, pełen nadziei, że teraz ustosunkuje się Pan lepiej do „Teczki", tym więcej, że „Moje Powieści" darzy Pan gorącą sympatią i nie zamierza się z nimi nigdy rozstać.

ŻYCZĘ SOBIE GORĄCO...

„Juvenalis". Drogi Panie! Zainteresowałem się twórczością Pana i życzę sobie gorąco ujrzeć jak najprędzej wydrukowany tomik Pańskich utworów, zatytułowany — „Ugorem na przełaj".

„Tęsknota za wiosną" nie jest doskonałym utworem. Gdyby jednak był on własnością jakiegoś początkującego poety — zamieściłbym go, od Pana jednak będę zawsze wymagał czegoś więcej, niż prymitywnych, łatwych rymów. Jest Pan przecież autorem tomika poezyj. Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia i czekam na nowe wiersze!

Raj kobiet

Kilka wskazówek o modzie wiosennej

Nie skończyła się jeszcze zima, panująca nad światem północy, a już piękne panie zaczynają myśleć o modzie wiosennej. Zwiastunami jej w roku 1938 są: Worth, Mainbocher, Lelong. Ukazały się już we Francji modele palt i kostiumów wiosennych. W wielu wypadkach cechuje je bardzo subtelna prostota. Np. przy palcie z dobrej, miękkiej wełny, spotyka się, jako przybranie, tylko stebnówkę.

Obok tych skromnych modeli widzimy także płaszcze z baskinkami, przybrane fantazyjnie futrem.

Na wieczór modne są płaszcze luźne, podbite białym agneau rase, który obrzeża cały materiał płaszcza.

Wśród kompletów wiosennych, spotyka się dużo przybrań z futra, a także peleryn. Peleryny są bardzo często ozdobione t. zw. „bizami" to jest drobno odszytymi zakładeczkami. Podobne zakładki spotyka się i na sukienkach, stanowiących z peleryną komplet.

Kolorowość kompletów wiosennych w kolekcjach paryskich polega na tym, że kapelusz i bluzka utrzymane są w tym samym tonie.

Do kolorowych kostiumów są modne bluzki jasne. A propos kostiumów, mówi się obecnie dużo o „marynarce" damskiej.

Jest to strój wygodny dla pań i elegancki. „Marynarka" pani pasuje do każdej sukni bez względu na porę i może być noszona nawet pod palto; w czasie dni zimniejszych; całkowicie zastępuje obnoszony swetr. Krój jej powinien być pełen prostoty, o linii raczej sportowej, z wyłogami ostrymi, jeśli chodzi o sport, a okrągłymi, jeśli chodzi o spacer lub wizytę. Na kieszonce górnej marynarki sportowej można zahaftować oznakę sportową lub monogram, marynarkę spacerową można przyozdobić zawsze bukiecikiem fiołków lub konwalii.

Marynarki te mają zastosowanie nawet na wieczór i wizytę. W tych wypadkach wygląd ich ulegnie jednak zmianie. I tak, marynarka wizytowa i wieczorowa bardzo piękna jest z czarnego jedwabiu, przyozdobiona dużymi srebrnymi guzikami i białą różą. Przy tej marynarce wyłogi nie są obowiązujące. Co dotyczy paska, to do marynarki sportowej nadaje się wąski, nieduży, może być z jedwabiu ze srebrną klamerką. Do marynarki wieczorowej pasuje pasek z jednostajnej lamy srebrnej lub złotej.

Najmodniejszymi ubiorami wiosennymi mają być krótciutkie, luźne żakieciki futrzane, przeważnie z farbowanych kretów pod kolor sukni, a więc najczęściej: szafirowe, zielone i popielate. Kapelusze do tych żakiecików można przybrac futrzanymi pomponami.

Co do sukien połudn̂iowych, przeważają czarne krótkie i dość wąskie u dołu. Rękaw trzyćwierciowy, albo też długi i obcisły. Zapięcie na ozdobny zamek błyskawiczny lub na rząd drobnych guziczków. Z kolorów sukien południowych spotyka się najwięcej czarny, granatowy i cyklamen. W tym sezonie wiosennym klosze nie wychodzą z mody. Wydłużone linie stanika nadają sylwetce swoisty wdzięk. Największym powodzeniem w okresie bieżącej mody wiosennej cieszą się bluzeczki żakiecikowe, zapinane na jeden guzik oraz w dalszym ciągu kamizelkowe. Poza tym proste, płócienne, haftowane w barwne wzory i bluzeczki z miękkiej wełenki w kratę, przybierane guzikami ze skóry. Model takiej bluzeczki, o stylu z lekka rosyjskim, często się zauważa.

Na zakończenie dodać należy, że czas najwyższy, aby wszystkie panie pomyślały już na serio o sprawieniu sobie wiosennych okryć, no i o przeróbkach. Te ostatnie będą stosowane bardzo szeroko, wziąwszy pod uwagę to, że trzeba będzie poobcinać doły i zmodernizować linię ramion u naszych sukienek, kostiumów i płaszczy, aby nie wyglądać „staroświecko" i niemodnie.

M. Zemmlerówna.

Ze świata

Skutki mgły w Anglii

Przysłowiową już jest londyńska mgła gęsta, ciężka, nieprzejrzysta, która dzień przemienia w noc. „Fog", jak ją nazywają londyńczycy, pojawia się najczęściej jesienią i w zimie. W życiu olbrzymiego skupiska ludzkiego pojawienie się mgły zmienia odrazu oblicze miasta i stwarza zaburzenia w ruchu ulicznym.

Niedawno zawisła nad Londynem niezwykle gęsta, ciemna mgła. Skutki tej ciemności przerachowano na brzęczącą monetę. Dla całej Anglii koszty tych pięciu dni mgły wyniosły okrągłą sumę około 8 milionów funtów (200 milionów złotych). Inaczej mówiąc, każdy dzień mgły kosztował do 40 milionów złotych.

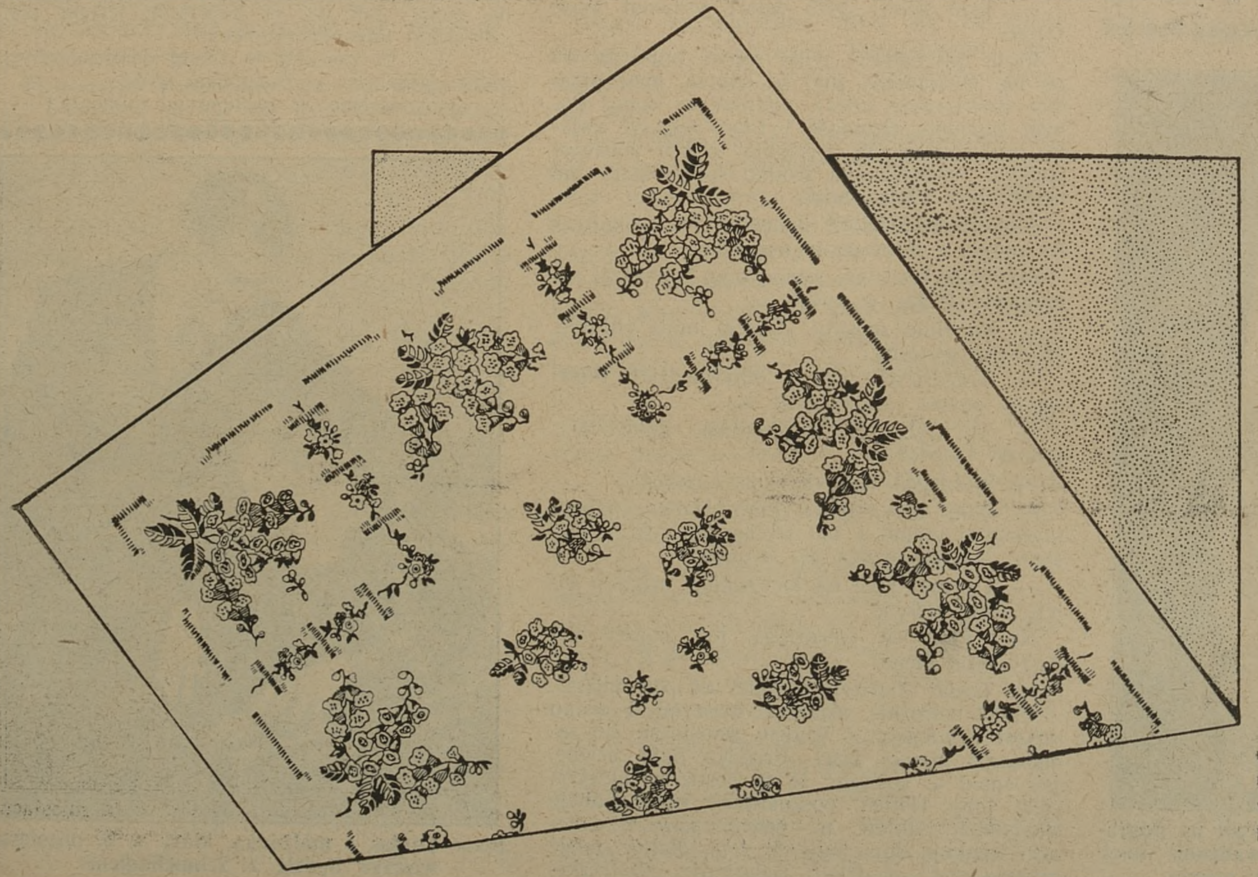
W jaki sposób powstały tak wielkie wydatki? Same tylko koleje obliczają nadzwyczajne wydatki z racji mgły na 1 milion złotych na godzinę ruchu. Na wydatki te składają się koszty silniejszego oświetlenia reflektorów, dodatkowego personelu, sygnałów itd. Zwiększony zaś wydatek na oświetlenie w ciągu dnia ulic, biur, mieszkań sięga 5 milionów złotych dziennie. Sam tylko zarząd miejski Londynu musi pokrywać zwiększony o 40 tysięcy zł wydatek za godzinę oświetlenia. Straty z powodu niedających się wykonać robót publicznych są duże i sięgają 6—7 milionów. Również duże sumy wynoszą straty z powodu opóźnień w przeładunku i przewozie towarów.

Odwrotną stroną medalu są wydatnie zwiększone dochody aptek i składów aptecznych, które sprzedają podczas mgły olbrzymie ilości środków przeciwkatarowych i różnych lekarstw. Natomiast sklepy, teatry, kina, restauracje zieją pustkami. W ponure wieczory wszyscy siedzą w domu i mało jest odważnych, którzy by wyruszyli w podróż po ciemnych ulicach.

Niezwyciężony hodowca wyścigowych koni

Aga-Khan, znany skądinąd, jako głowa wszystkich mahometan, jest również posiadaczem stajni wyścigowej, która ma największe powodzenie od szeregu lat. Ta renoma pozwala że Aga-Khan sprzedaje swe konie za bajkowe wprost ceny. Tak np. sprzedał on niedawno jednego ze zwycięzców w derby do Stanów Zjednoczonych za cenę 50.000 funtów, to zn. przeszło 5 milionów franków. W okresie hodowli Aga-Khan zdobywa również poważne sumy, albowiem za stanowienie klaczy pobiera po 500 funtów szterlingów.

Ten milioner hinduski występuje rzadziej w charakterze głowy kościoła mahometańskiego, aniżeli jako jeden z największych hodowców koni wyścigowych w świecie. W zeszłym roku zdobył dwa pierwsze miejsca w derby, a wśród hodowców koni zajmuje niewątpliwie najwybitniejsze miejsce. Jest też wśród nich najbogatszy. Najwybitniejsi hodowcy angielscy, jak



Śliczna serweta podwieczorkowa, rozmiar 130×160 cm, haftowana nićmi mouliné w dowolnych kolorach. Serwetę tę wykonać można na lnianym płótnie.

lord Derby, lord Aster i nawet sam król angielski stoją daleko poza nim zarówno co do liczby, jak szczególnie co do jakości koni.

Wpływy Agi-Khana ze zdobywanych przez jego konie nagród wynoszą rocznie około 100 tysięcy funtów, to znaczy przeszło dwa i pół miliona złotych. Ze sprzedaży roczniaków zdobywa także taką sumę rocznie, nagrody zaś wynoszą połowę tego, czyli około 50.000 funtów. Mając więc ze stajni około ćwierć miliona funtów szterlingów dochodu, Aga-Chan wydaje na nią około 100 tysięcy funtów rocznie. Z tego wynika, jak olbrzymie wydatki pociąga za sobą utrzymanie tej stajni.

Żaby zatrzymują ruch samochodowy

Na szosie pod Londynem została przerwana jednego ranka w maju 36 roku komunikacja. Stanęły samochody, zostali zatrzymani nawet i piesi przechodnie. Zaalarmowano policję. I cóż się okazało? Oto powodem wstrzymania ruchu na blisko pół godziny były ...żaby. Na bardzo dużej przestrzeni szosy, w szerokich podskokach wędrowały one z jednej strony szosy na drugą. Opuszczały łąkę, udając się do stawów, położonych po drugiej stronie szosy. Po blisko półgodzinnej przerwie, gdy ostatnie szeregi żabek przeskoczyły już szosę — setki samochodów ruszyło w dalszą drogę.

KURT PERGANDE

Czerwony samochód

Przełożył H. Lindemann

Piotr wolno popijał gin i ze spokojem palił papierosa jak zwykle przed tego rodzaju jazdą.

W barze, zbitym z desek znajdował się tylko gospodarz, a przez otwarte drzwi widać było las wież wiertniczych. Wydawać by się mogło, że cała powierzchnia Texasu jest pokryta tylko wieżami wiertniczymi.

— Jeszcze szklankę? spytał gospodarz, Paddy.

Piotr zgodził się milcząco.

Paddy podał mu szklankę i rzekł:

— Jedziesz dzisiaj po raz dwudziesty piąty.

— Czy liczyłeś?

— Tak, cóż innego miałem robić z braku lepszego zajęcia. Jency zdołał tylko przejechać pięć razy, Clerk jedenaście, ale ty masz już poza sobą 24 jazdy. Kto by się tego spodziewał.

— Bardzo mi miło! Ale to też jest już moja ostatnia jazda, i pozwól sobie powiedzieć, że za czternaście dni odpływa statek i trudno mi naprawdę uświadomić sobie, że będę mógł już ten przeklęty kraj opuścić.

Wypił jednym haustem całą szklankę.

— Poza tym nic nowego? spytał, wskazując na leżącą obok gazetę.

— Niewiele, lecz jeśli chcesz wiedzieć, to ci powiem, że John Hatter zrobił znowu interes w swoim rodzaju. Trzy dni temu zastrzelił kierownika banku i jego pomocnika, wsadził do kieszeni trzydzieści tysięcy dolarów i zniknął jak zwykle. Jeżeli go schwycisz, możesz dostać pięć tysięcy dolarów. Ma już na sumieniu życie sześciorga ludzi, a policja jest bezsilna.

Paddy z oburzeniem uderzył w gazetę, podającą tyle okropności. Piotr wysłuchał tej relacji jednym uchem, zapłacił i wyszedł.

— Szczęśliwej podróży! krzyknął Paddy za nim. Jedź ostrożnie, chłopcze, jeśli chcesz wrócić do swej ojczyzny.

Piotr uśmiechnął się nieznacznie i udał się na przełaj przez pole do samotnie stojącej, dobrze zamkniętej składnicy. Otworzył wielką bramę i wkroczył do wnętrza, doznając jak zwykle uczucia, że mu ktoś worek z lodem przyłożył do kręgosłupa. Przystanął i spojrzał mimowoli na ręce. Drżały. Przetarł wierzchem dłoni czoło i poczuł wilgoć. Opadło go uczucie słabości. Nikt nie mógł mu dać pewności, że powróci z tej ostatniej podróży, gdy na każdym centymetrze drogi czyhać nań będzie śmierć. A przecież nie chciał wylecieć w powietrze. Chciał wrócić do ojczyzny. Gdyby teraz poszedł do bossa (szefa) i powiedział, że nie pojedzie, niebezpieczeństwo byłoby zażegnane. Od jutra był już wolny. Stał i rozmyślał nad tym, aż wreszcie lepsze, silniejsze ja wzięło w nim górę. Nikt go do tej pracy nie zmuszał, zgłosił się dobrowolnie, ażeby zyskać wysoką premię i nieco w ten sposób zarobić, dlatego też należało obowiązek wypełnić bez reszty.

Wszedł do samochodu, lakierowanego czerwoną, ostrzegawczą barwą, usiadł na siedzeniu, włączył motor i ostrożnie ruszył z miejsca. Czterej robotnicy stojący opodal, na ten widok rozbiegli się. Również boss kiwnął mu z daleka ręką i szybko się oddalił. Piotr wyjechał na szosę i rozwinął szybkość czterdziestu kilometrów na godzinę. Droga była piekielnie zniszczona. Piotr dogonił jakiegoś pieszego. Ten podniósł rękę, aby go zatrzymać, zobaczywszy jednak czerwony samochód, rzucił się do rowu.

— Jedź dalej! Jedź dalej! wrzasnął przerażony.

Piotr obserwował tylko szosę. Inne sprawy go nie obchodziły, znał je dobrze, miał przecież dwadzieścia cztery podróże za sobą. Powoli zapadała ciemność i Piotr włączył światło reflektorów. W następnej chwili zobaczył jakiegoś człowieka na środku szosy, który nie uciekł, gdy Piotr stanął.

Ależ to żółtodziób! pomyślał Piotr, patrząc na niego z ironicznym uśmiechem.

Ów zbliżył się do samochodu i wskazał na motocykl leżący w rowie.

— Zupełnie zepsuty. Zabierz mnie chłopie. Ile masz benzyny?

— Trzydzieści litrów, odpowiedział Piotr, ciągle jeszcze uśmiechając się.

— All right! Do najbliższego miasta wystarczy. Jazda!

— Wolnego! Kto chce do miasta?

— Nikt inny, tylko John Hatter, odparł przestępca zimno i nie wyciągając ręki z kieszeni, sięgnął drugą po walizkę.

— Trzymaj ręce na kierownicy, ciągnął dalej. Sam wsiądę.

Nim Piotr się spostrzegł, już pasażer siedział obok niego.

— Jazda! Zawieziesz mnie, aż pod miasto.

Piotr ostrożnie zapuścił maszynę i wolno ruszył z miejsca. Z trudem zmusił się do zachowania zimnej krwi. Przecież było pewne, jak amen w kościele, że ta bestia w ludzkim ciele John Hatten, poszukiwany przez policję wszystkich Stanów, na pewno przy wysiadaniu wpakuje mu kulę w łeb. Hatter mógł przypuszczać, że Piotr zaalarmuje miasteczko, jeśliby go zostawił przy życiu. Do tego Hatter nie mógł dopuścić. Piotr zastanowił się.

— Jeżeli znowu będziesz kiedy uciekał, musisz wziąć lepszy motocykl.

— Dobra myśl!

— A w walizce masz pewnie zrabowane pieniądze?

— Zgadłeś.

— A gdy cię wysadzę pod miastem, wsadzisz mi pewnie kulę w łeb. Znajdą mnie, lecz zanim się domyślą, ty będziesz już za górami.

— Zgadłeś. Będzie mi trochę żal. Lecz... jedź prędzej!

Piotr spojrzał przed siebie. Przed nimi pojawił się samochód.

Hatter wyciągnął rewolwer.

— Oczywiście nie zatrzymasz się... Co to? — wykrztusił.

Jadący z przeciwnej strony samochód zatrzymał się, szofer z wszelkimi oznakami przerażenia wyskoczył i pobiegł daleko w pole, ponieważ Piotr pędził teraz sześćdziesiąt km. na godzinę; była to szybkość piekielna dla ładunku czerwonego samochodu. Szofer krzyczał i wywijał rękoma jak wariat.

— Pytasz mnie — rzekł Piotr z lodowatym uśmiechem — co to znaczy. Dobrze, powiem ci. Ten szofer przeraził się śmiertelnie. Zawsze twierdziłem, że jesteś zwierzem, którego należało by zlynczować, lecz w chwili, kiedy zatrzymałeś mój samochód, doszedłem do przekonania, że nie znasz tych okolic i prócz tego jesteś rzadko spotykanym żółtodziobem. Słyszałeś już coś o nitroglicerynie?

— Wiem, odparł Hatter, drwiąc sobie ze złości Piotra. Jest to piekielna rzecz i gorsza od policji wszystkich Stanów.

— All right. Wiesz zatem. I widzisz, mam tutaj w samochodzie dwadzieścia cztery czterolitrowe bańki nitrogliceryny. I o tym wiedział ów szofer, który uciekł na widok mojego wozu. Zresztą mój czerwony samochód zna każdy mieszkaniec tych okolic. Zazwyczaj jadę czterdzieści km. na godzinę. W tej chwili szybkość wynosi sześćdziesiąt i jest bardzo możliwe, że każdej chwili możemy wylecieć w powietrze. Jakiś większy kamień, dziura w szosie, no w ogóle jakiś większy wstrząs wystarczy, abyśmy przenieśli się na drugi świat.

— Zachowaj dla siebie głupie dowcipy, — rzekł Hatter. — Myślisz, że mnie na to chwycisz?

Piotr patrzył wciąż prosto przed siebie i ledwie poruszał wargami.

— To, że jesteś tutaj obcy, zdążyłem zauważyć i że życie w Stanach jest bardzo urozmaicone, o tym też zdążyłem się przekonać, dlatego też chciałbym już wracać do Ojczyzny, lecz najbardziej dla mnie głupim jest fakt, że z takim łotrem, jak ty, mam odbyć podróż do nieba. Jak już ci mówiłem, jestem tzw. „strzelcem nitroglicerynowym".

— Co to znaczy? — rzekł Hatter ochrypłym głosem. — Zatrzymaj wóz!

(Dokończenie w następnym numerze.)



Pod szczytem Zugspitzplatt, leżącym na pograniczu Niemiec i Austrii przeprowadzono tunel, którego wylot widzimy na zdjęciu.



Steve Dudas z małżonką, który w b. miesiącu walczyć będzie z Schmelingiem.

Wkrótce nadszedł też Noth i powitał Hortensję serdecznie, wyrażając nadzieję, że ją teraz częściej będzie w swoim domu widywał, wobec tego, że ją Waleska tak polubiła.

Potem zwrócił się do swej siostry i rzekł:

— Jak się masz, Lotko — rzekł uprzejmie — czyś zdrowa?

— Czy nie ma psa? — zapytała ciotka zaniepokojona — Ido, gdzie jest Tyras? — rzekła, zwracając się do pokojówki.

Kosztowało to trochę trudu wyperswadować jej pomyłkę i uspokoić ją.

Mecenas poprowadził swoją siostrę do stołu, a Hellmut obie młode damy i, siadłszy między nie, dzielił na dwie części swe uprzejmości i nudne komplementy.

Było wesoło i swobodnie. Wszyscy się śmiali i ciotka także chciała wiedzieć o co chodzi.

Mecenas w dobrotliwości swej, starał się jej wytłumaczyć, o co chodzi — i starał się z całej siły swych płuc, powiedzieć:

— Matka trzech córek, na wydaniu...

— Nie rozumiem ani słowa — skarżyła się ciocia Lotka — czy nie mógłbyś trochę głośniej mówić?

Adwokat zaczął jeszcze głośniej mówić, a ciotka udała wreszcie, że słyszy i śmiejąc się, chwaliła dowcipną anegdotę.

Gdy się Hortensja pożegnała, podziękowawszy uprzejmym gospodarzom, pożegnał się referendarz również i zapytał, czy ją może odprowadzić.

— Dziękuję panu — odpowiedziała Hortensja — zdaje mi się, że po mnie przyjdą.

Nie wymieniła jednak, kto po nią przyjdzie, a Hellmut zaśmiał się brzydko i mruknął, że w takim razie nie chce przeszkadzać.

Mimo to wyszedł z nią razem. Ale jakże się zdziwił, gdy zobaczył Luiga i rozpoznał w ciemności jego sutą liberię, którą ten jeszcze nosił.

Stary, wierny służący wziął nuty Hortensji i kroczył poważnie za nią. Młoda kobieta skinęła Hellmuntowi głową i chciała się oddalić, lecz on prosił, aby mu wolno było dalej z nią pójść.

Hortensja niechętnie na to zezwoliła, ale zdawało jej się, że winna to rodzinie Noth, aby go nie obrazić. Wkrótce jednak pożałowała, że mu się odprowadzić pozwoliła.

Referendarz podał jej ramię, lecz ona chłodno odmówiła. Mimo to szedł blisko niej i mówiąc nachylał się tak, że czuła jego oddech.

Hortensja odchylała się, jak tylko mogła, a wtedy on syknął przez zęby:

— Mój niewinny, cnotliwy gołąbku, możesz się opierać, ile ci się podoba, lecz ja cię przecież dostanę w swoją moc.

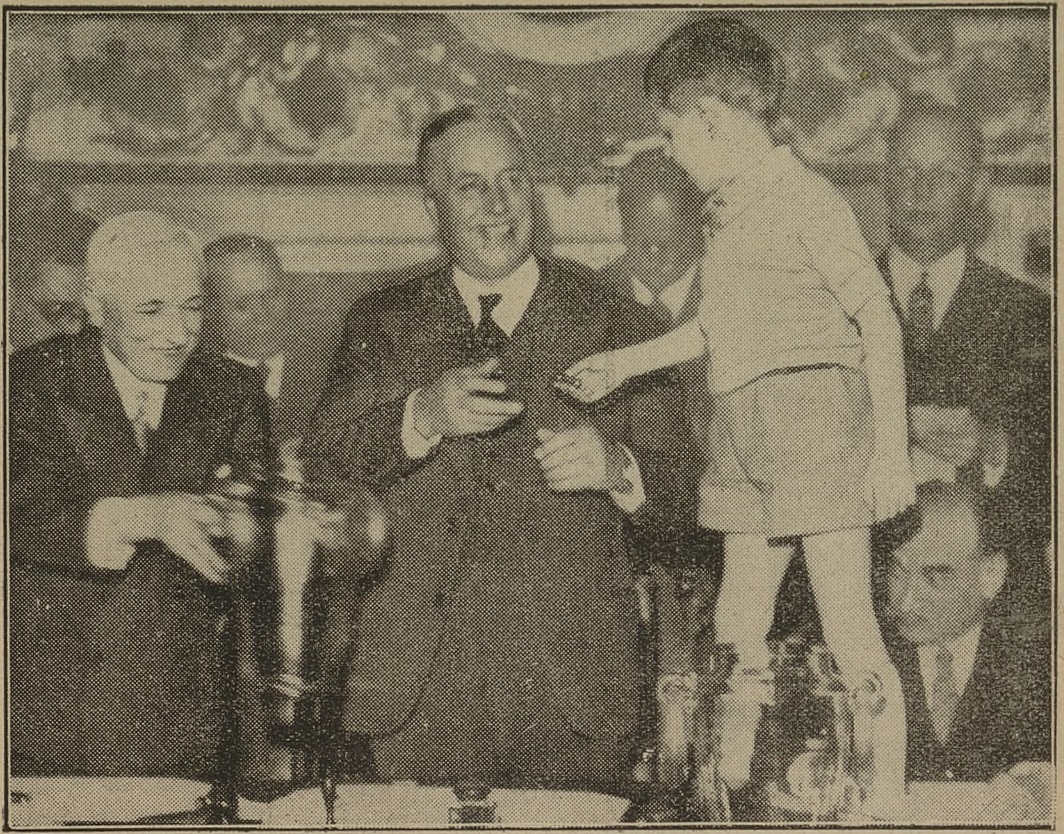
Hortensja przystanęła śmiertelnie przestraszona, lecz w irytacji swej nie mogła się zdobyć na żadne słowo. W następnej chwili stał Luigi obok niej.

Stary sługa szedł tuż za swoją panią i z utajonym gniewem spoglądał na bezczelnego człowieka, który się do niej tak śmie zbliżać.

Zaciskał zęby ze złości, że mu nie było wolno wtrącić się i swoje zdanie powiedzieć. Ucieszył się jednak niezmiernie, gdy mu Hortensja rzekła:

— Luigi, zostań tu przy mnie!

W tej chwili nadjechała dorożka. Luigi skinął na nią i pomógł swej pani przy



W historycznej paryskiej Sali Zegarów odbyły się pod przewodnictwem podsekrzetarza stanu de Tessan'a losowania o kolejność rozgrywek mistrzostw świata w piłce nożnej. Losy z urny wyciągał mały chłopiec, stojący na zdjęciu na stole.

wsiadaniu. Sam usiadł na koźle obok woźnicy, który popędził szybko konie.

Hellmut został w nieopisanej, niewymownej wściekłości.

Hortensja zaś oparła się o poduszki powozu na pół omdlała.

Czuła się ona tak szczęśliwą w domu Nothów, ojciec i córka tak ciepło i serdecznie ją przyjmowali, a wszystko to popsuł ten nikczemnik swoim natręctwem. Biedna kobieta rozpłakała się, bo miała złe przeczucia co do przyszłości.

ROZDZIAŁ CCLXXXI.

Piękna czytelniczko, udaj się za mną do małego miasteczka Petershagen, aby współczuć i cieszyć się szczęściem pięknej Idy.

Gdy cudna dziewczyna przechodziła, ramię w ramię ze swoim narzeczonym przez ulice Petershagen, przybiegały wszystkie kumoszki do okien i śledziły młodą parę dopóki jej z oczu nie straciły.

Lotem błyskawicy rozeszła się po Petershagen wiadomość, że szwaczka Ida, zaręczyła się z młodym, pięknym i do tego bogatym człowiekiem, ze szlacheckiej rodziny.

Plotkarki petershagenskie zaczęły robić różne przypuszczenia i złośliwe uwagi.

— Co za szczęście dla takiej prostej szwaczki — mówiła jedna — to nie do pojęcia!

— Co też ten markiz mógł w niej takiego zobaczyć? — odezwała się druga — nie jest ona brzydka, ale też nic szczególnego. Wiele jest takich na świecie!

Mówiąc to, myślały naturalnie o sobie.

— Może to nieprawda, że on jest markizem. Może to jakiś zwykły komiwojażer, który sobie z nią żartuje, a potem odjedzie i na koszu ją zostawi.

— Pomyślcie sobie — rzekła otyła młynarka grubym, ochrypłym głosem, przystępując do tamtych i zieleniejąc z zazdrości, podczas gdy to wymawiała — pomyślcie sobie, widziałam na własne oczy, że Ida dostała od swego narzeczonego biżuterię w wartości 20.000 reńskich.

— Co, 20.000 reńskich? — zawołały wszystkie obecne kumoszki razem — to przecież majątek cały!

— Nie umiem sobie tego wytłumaczyć — rzekła młynarka — bo dla mnie ta Ida jest wprost brzydka!

— Ma jedną łopatkę wyższą od drugiej — zawołał jakiś piszczący głos dziewczyny.

Było to złośliwością, bo Ida była rosłą i prostą jak topola i miała włosy jak jedwab, mimo, że jedna z obecnych, złośliwych kobiet nazwała je końskimi.

Ale żadna z nich nie mogła się pięknością, ani też pod żadnymi innymi względami z Idą zmierzyć!

— Dokąd oni mogli pójść? — zawołała jedna z nich ciekawie, i nie zważając nawet na bardzo zaniedbany swój kostium, pobiegła za młodą parą i za panią Herbert, która szła z nimi.

Po kwadransie może, wróciła zadyszana do swych towarzyszek, które sobie tymczasem na niej języczki ostrzygły i zaczęła bez tchu prawie:

— Zgadnijcie, gdzie oni poszli! Wprost do więzienia podążyli, pewno chcą złożyć staremu Herbertowi wizytę!

— Co to za bezczelność ze strony tej Idy, prowadzić tak wielkiego pana do więzienia — odezwała się znów młynarka — zamiast się wstydzić tego, że ktoś z jej bliskich odsiaduje karę w areszcie, to ona jeszcze sobie widocznie ma to za zaszczyt.

Teraz zbliżyła się do tej grupy niejaka pani Kudlich, wracając z targu z ogromnym koszem. Słyszała z daleka już przenikliwy głos młynarki i aż się zarumieniła z oburzenia, gdy zrozumiała, że to o Idę chodzi, i jak one ją tu niemiłosiernie odgadują.

Poczciwej kobiecinie aż się oczy zaświeciły z gniewu i przystąpiwszy do tej



Na zakończenie karnawału przybyła do Dower (Anglia) grupa rybaków i rybaczek belgijskich, by już na ulicy zaproduko wać swe tańce ludowe.

gromadki, tak otwarcie wypowiedziała młynarce swoje zdanie, że ta aż osłupiała. Towarzyszki jej zaś, które jej nie znosiły, tryumfowały i cieszyły się z tego afrontu.

— Niech się pani wstydzi, wygadywać w tak niechrześcijański sposób na porządną, cnotliwą i poczciwą panienkę — krzyknęła pani Kudlich — to jest niegodne ze strony pani, która nie warta nawet zawiązywać takiej Idzie tasiemki od bucików. Ida ma w małym paluszku więcej rozumu, niż pani w swej głowie! To świadczy tylko dobrze o niej, że ona swoich przyjaciół w nieszczęściu nie opuszcza i że się ich nie wstydzi. Jest to tylko szlachetnie z jej strony, że poszła z markizem odwiedzić nieszczęśliwego Herberta w więzieniu i pokazuje swe złote serce, na którym można polegać. Ale przez panią tylko zazdrość mówi, nie życzy pani biednemu dziecku tego szczęścia! Ale chociażby pani z zazdrości pękła, to Ida przecież będzie panią markizową, będzie mieszkala w palacu i ubierała się w jedwabie i aksamity, w diamenty i inne drogie kamienie, a pani zostanie dalej w swoim brudnym, kłapiącym młynie.

To mówiąc, dygnęła pani Kudlich szyderczo w stronę młynarki i odeszła.

Ale plotkarki długo potem jeszcze się nie rozeszły, gadając wciąż na ten sam temat. Opuśćmy je lepiej i podążmy za znajomą parą i panią Herbert do więzienia.

Portier, który im otwierał, popatrzył na nich zdziwiony, a szczególnie na panią Herbert, która zwykle przychodziła z zapłakanymi oczyma, a teraz wprost jaśniała szczęściem:

— Musiało jakieś wielkie szczęście zrobić — pomyślał — życzę jej z całego serca!

— Proszę zameldować panu inspektorowi, że markiz de Lorme chce się z nim widzieć — rzekła Ida — a zwracając się do swego narzeczonego, rumieniąc się rzekła piękną francuszczyzną:

— Kochany Arnoldzie, czy nie masz przy sobie karty wizytowej?

Markiz wręczył portierowi natychmiast swoją kartę wraz z kilkoma złotówkami, za co mu się portier głęboko ukłonił i natychmiast do inspektora pobiegł.

— Na Boga — zawołał, wchodząc do swego przełożonego — jak długo więzienie więzieniem, to jeszcze nie doznało takiego zaszczytu! Niech sobie pan pomyśli, panie inspektorze, że markiz, prawdziwy markiz chce się z panem widzieć. Przyszedł z panią Herbert i z tą panienką, co jest u nich. Herbert przecież musi być niewinny, kiedy się za nim aż tacy panowie wstawiają!

— Czy pan markiz przyszedł tu w sprawie Herberta? — zapytał inspektor. — Może w takim razie Herbert naprawdę niewinny — dodał — ale takiemu wielkiemu panu nie trzeba dawać czekać. Proszę go natychmiast do mnie wprowadzić.

Portier wprowadził markiza i damy do kancelarii, a inspektor, mały, gruby człowiek o cienkim, piszczącym głosiku wyszedł naprzeciw i powitał ich całym potokiem uprzejmych słów.

Gdy pani Herbert dawniej z nim chciała mówić, nie przyjmował jej nawet, a teraz widząc ją w towarzystwie markiza, nie miał dla niej dość grzecznych słów i przyjął ją z otwartymi ramionami.

Ida była pośredniczką w konkwersacji między narzeczonym swym a inspektorem, tłumacząc mu o co właściwie markizowi chodzi i ofiarując w jego imieniu wielką kaucję na to, aby Herberta aż do ukończenia procesu puścili na wolną stopę.

— Gdyby to nawet miała być kaucja pół miliona, złożyłbym ją w przeciągu kilku dni — dodał markiz, a Ida dosłownie to inspektorowi przetłumaczyła.

Inspektor dostał zawrotu głowy, słysząc o tak kolosalnej sumie.

— Nie, człowiek, który ma takich przyjaciół, nie może być przecież zbrodniarzem — pomyślał — baron Sturmfeder napewno się mylił.

— Odwdzięczyłbym się panu należycie za prędkie wykonanie mej prośby — dodał markiz, a obietnica leżąca w tych słowach, była dla inspektora wielką pokusą.

— Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy — rzekł — ale niestety, nie zależy to li tylko ode mnie. Aby się panu markizowi jednak okazać usłużnym, będę się starał uczynić panu Herbertowi pobyt tu jak najbardziej znośnym. Dam mu książki do czytania, wolno mu będzie odtąd przyjmować wizyty i być na własnym wikcie.

Oczy pani Herbert zabłysły z radości, gdy to usłyszała.

— Bogu najwyższemu dzięki — rzekła w duchu — odtąd będę memu biedakowi mogła gotować sama dobrą i pożywną strawę, w miejsce obrzydliwego więziennego pokarmu. Będę go mogła często odwiedzać, skracać i uprzyjemniać mu czas wesołą rozmową!

Miała ochotę objąć Idę i wycałować ją z całej siły, bo wiedziała, że wszystko to zawdzięcza jej i jej narzeczonemu, ale opanowała się i uścisnęła jej tylko serdecznie rękę.

— Czy wolno pani Herbert teraz wejść do jej męża? — zapytała Ida — chcąc aby ona pierwsza tam weszła i bez świadków z nim się przywitała.

Inspektor zgodził się chętnie na to i zadzwoniwszy na dozorcę, kazał mu zaprowadzić tę damę do pana Herberta.

— Nie trzeba być obecnym przy rozmowie — dodał.

Serce biednej kobiety biło jak młotem. Miała zobaczyć znów kochanego swego małżonka.

Dozorca otworzył celę Herberta i został na korytarzu, a pani Magdalena weszła do niej cicho.

Oczy pani Herbert zamgliły się tak, że przez chwilę nic nie widziała. Przycisnęła obie ręce do bijącego głośno serca, jak gdyby dla uspobienia i oparła się o ścianę, aby tchu złapać.

Opanowawszy się wreszcie, rozejrzała się po smutnej, pustej celi.

Przy oknie siedział więzień na jedynym krześle, które się tu znajdowało. Głowę miał opartą o szyby okna i zdrzemnął się widocznie ze znużenia. Oczy pani Herbert znów się zalzawiły.

— Jaki blady i wychudły — szepnęła — a jak mu twarz zmalała!

Na palcach przysunęła się do jego siedzenia, objęła ukochanego męża za szyję i pocałowała go w głowę.

Herbert otworzył oczy.

— Czy to we śnie, czy na jawie? — szepnął. — Magdaleno, żono moja, czy to ty?

Pocałowała go znów i zły potoczyły się po jej policzkach, ale nie mogła wymówić słowa; była zanadto wzruszoną.

— Moja żono, moja żono, moja Magdaleno! — wołał więzień patrząc na nią z miłością i zachwytem.

Nastąpiła wkrótce przerwa. Herbert pogłaskał swą żonę po policzkach i zapytał:

— Jakiej szczęśliwej okoliczności mam to podziękować, że cię widzę w swej

nędznej celi? Co Sylwia porabia, jakie masz od niej wiadomości?

— Dostałam od niej list, który ci tu przyniosłam — rzekła pani Magdalena wyjmując list przybranej ich córki z kieszeni — kochany Pawle, przygotuj się teraz na wielką niespodziankę! Przypadek odkrył mi pochodzenie Sylwii: jest ona prawowitą córką zmarłego za granicą hrabiego Ernesta Wildensteina.

Okrzyk zdziwienia wyrwał się z ust Herberta. Prosił żonę o bliższe szczegóły, a ta opowiadała dalej:

— Jest tu niejaki markiz de Lorme, którego zaraz poznasz. Jest on krewnym zmarłej matki Sylwii, która potajemnie wyszła za hrabiego Wildensteina. Niesumienni ludzie wnieśli niezgodę między młode małżeństwo i hrabina opuściła męża swego z gniewem. Hrabia Ernest umarł nagle, a żona jego dowiedziała się o jego śmierci dopiero w kilka miesięcy później i zachorowała ciężko z tego zmartwienia. Ledwo tylko trochę do siebie przyszła, — chciała szukać opieki u swego srogiego wuja, ale ten nie chciał nic więcej o niej słyszeć. Przyjaciele się od niej odwrócili. W najwyższej rozpaczy postanowiła udać się do krewnych swego zmarłego męża i z małą gotówką udała się do Wiednia. — Przybywszy tam, zachorowała w wynajętym swym mieszkaniu, u niejakiej pani Hai. Wyzdrowiawszy, pojechała do Wildensteina, ale że nie miała tyle pieniędzy, aby dojechać aż do samej miejscowości, przebyła pewną część drogi pieszo. Słaby jej organizm jednak nie wytrzymał tego wszystkiego. Padła nieprzytomna, bliskiego naszego domu. Ty znalazłeś biedaczkę!

— A czyż to stwierdzone, że dama, o której mówisz, a ta pani, która w naszym domu umarła, jest jedną i tą samą osobą? — zapytał leśniczy z niedowierzaniem.

— Jedna i ta sama — odparła pani Magdalena — czy sobie przypominasz obrączkę ślubną tej pani z napisem: ślub odbył się w W. 1866 r. To była data ich ślubu w kościele św. Szczepana, w Dornville. Ida jest przekonana, że nieszczęśliwa hrabina miała wszystkie swe papiery zaszyte w gorsecie. Sądzę, że Ida ma słuszność i że baron Sturmfeder dlatego nam kazał wykraść tę kasetę, aby te papiery poniszczyć.

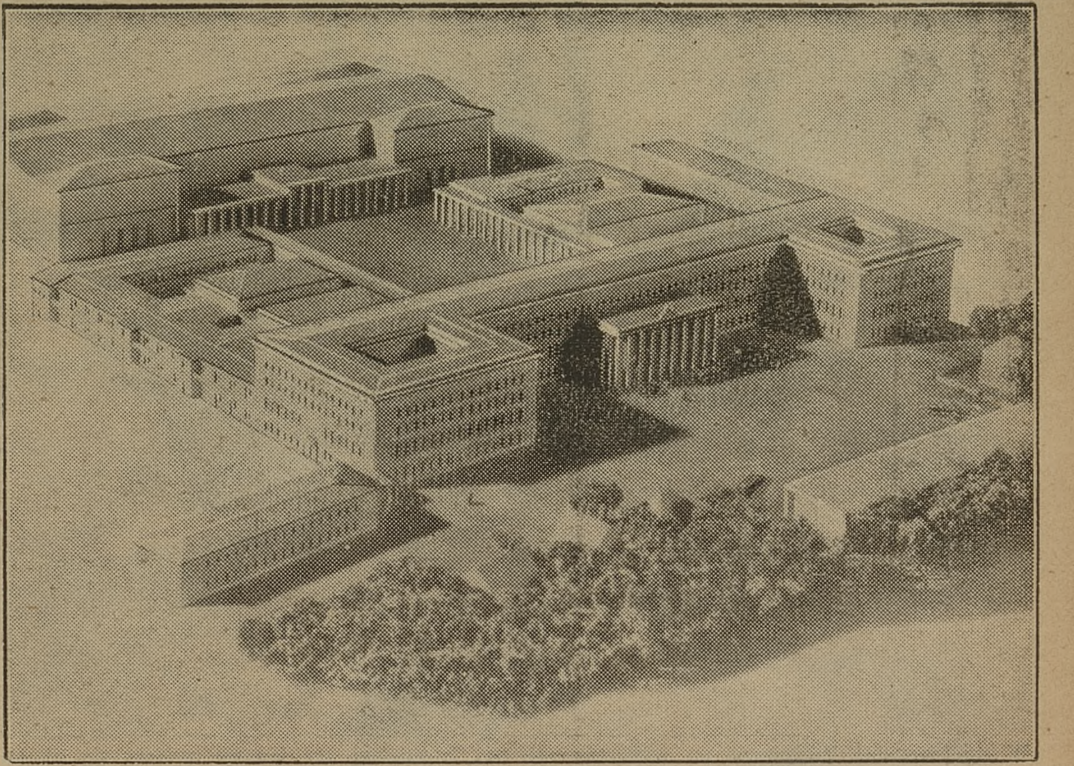
— On, i znowu on — mruknął leśniczy — ten człowiek jest naszym złym duchem i niszczycielem naszego szczęścia. Ale cierpliwości. Przyjdzie jeszcze dzień, który okaże całą moją niewinność, a wyświetli wszystkie jego zbrodnie!

— Ten dzień niebawem nadejdzie — zawołała pani Magdalena, z ufnością — gdyby Sylwia nie była w drodze do Ameryki, to moglibyśmy już teraz począć kroki o odzyskanie jej praw, a markiz de Lorme byłby nam w tym pomocnym!

Opowiedziała również mężowi o niespodziewanym szczęściu Idy, a poczciwy Herbert ucieszył się.

— Jeżeli taka biedna sierota taką świetną partię robi, to mi to ogromną radość sprawia — dodał.

W tej chwili zapukano do drzwi celi i weszła Ida z narzeczonym. Mimo najlepszej chęci, nie mogli oni dłużej przeciągać rozmowy z inspektorem, aby małżeństwo jak najdłużej sam na sam zostawić.



W miejscowości Babelsberg pod Berlinem, będącej niemieckim Hollywood zaczęto budować akademię filmową, której model widzimy na zdjęciu.

Weszli trochę wahająco, ale wnieśli radość i słońce do ponurej celi więziennej.

Herbert wstał i wyszedł kilka kroków naprzeciw. Chciał Idzie pogratulować, ale gdy ją zobaczył, tak się anielską postacią jej wzruszył, że mimowoli podniósł wychudłą swą rękę błogosławiąco nad jej głową i dotknął czystego jej czoła ustami.

Idąc za chwilowym popędem serca, objęłah szyję biegłego więźnia swoimi ramionami i na chwilę złożyła głowę na jego piersi.

Czuła się tak szczęśliwą, jak nigdy w życiu; ze wszech stron otaczano ją miłością i uwielbieniem, ją, która przez wiele lat ani jednego serdecznego słowa nie słyszała. Okropny okres spędzonych u Haiów, wydawał jej się teraz przykrym, nieznośnym snem.

Leśniczy zadawał jej tysiące pytań: jak się z narzeczonym swym poznała, kiedy ślub, gdzie później będą mieszkać itd.

Markiz odpowiedział, że chciałby się jak najprędzej z Idą ożenić, ale że to niestety jeszcze trochę będzie musiało potrwać, bo Ida jest niepełnoletnia, a opiekun pewnie zezwolenia nie da!

Na to pani Herbert zawołała z oburzeniem:

— Z tym panem Haiem ja jeszcze także porachować się muszę za to, że on Sylwię swoim podrobionym podpisem do domu obłąkanych zwabił, a raczej baronowi do zwabienia jej tam pomógł. Zasługuje on w ogóle na dożywotnie więzienie za to, że Idę okradł i z jej majątku tyle lat dostatnio żył. I on by jeszcze śmiał nie dać pozwolenia na ślub?

To mówiąc, zwróciła się do męża i opowiedziała mu na prędce, jak Hai oszukał wdowę Steinert i przywłaszczył sobie jej wygraną.

Herbert nie mógł pojąć, by tyle było podłości i przewrotności w jednej osobie.

— Ja na pana miejscu, panie markizie, pojechałbym natychmiast do Wiednia — zawołał leśniczy — i pociągnął tego oszusta do odpowiedzialności za zbrodnię, którą popełnił na biednej wdowie i sierocie. Przecież to woła o pomstę do Boga!

Ida nie przetłumaczyła tego swemu narzeczonemu, bo drżała na myśl, że Arnold może się znów dostać w ręce wyrafinowanego Haia, i przebieglejszego jeszcze Teobalda, który już raz na jego życie czyhał.

Zaniepokojona samą myślą, przytuliła się piękna dziewczyna do swego narzeczonego i rzuciła mu gorące, pełne miłości spojrzenie.

— Moja jedyna! — szepnął de Lorme — nie umiem tego wyrazić, jak niewymownie szczęśliwym się czuję!

W tej chwili wszedł dozorca więzienny z paczką, którą pan inspektor przysłał dla Herberta i oświadczył w imieniu swego przełożonego, że on nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pani Herbert zechce mężowi swemu razem z obiadem przesłać trochę tytoniu i piwa ,albo wina, lub co sobie pan leśniczy zadysponuje.

Herbert nie wychodził ze zdziwienia i wprost uszom swoim nie wierzył. Wczoraj jeszcze najskromniejszych jego życzeń nie spełniono, a dziś od razu tyle uprzejmości na niego się posypało!

Pani Herbert odetchnęła lżej na myśl o uldze dla męża, ale przeraziła się, gdy usłyszała 12-tą godzinę z zegara wierzowego.

Przypomniała sobie bowiem, że nie poczyniła jeszcze żadnych przygotowań do obiadu, a miała dziś posłać obiad swemu mężowi i ugościć u siebie markiza.

Ida odgadła jej myśli.

— Proszę się nie martwić, cioteczko — szepnęła do pani Herbert, którą ciotką nazywała — możemy dziś posłać po obiad do hotelu!

— Nie, to niesmaczne i niepożywne — odpowiedziała leśniczyna — zrobię sama w domu inną polewkę, cielęce sznycle z przysmażonymi kartoflami i omlet z konfiturą. To wszystko prędko można w domu zrobić i lepsze będzie, niż z restauracji.



W miejscowości Pillkoppen na wybrzeżu mierzei kurońskiej kry lodowe wdarły się aż na brzeg i zniszczyły kilkanaście łodzi rybackich tam się znajdujących.

Potem zwróciła się z westchnieniem do swego męża i rzekła:

— Kochany Pawle, musimy się na dziś rozstać, ale pociesz się myślą, że jutro znów się zobaczymy!

Objęła go i uścisnęła przed odejściem. Ida i markiz serdecznie się z nim pożegnali i wyszli z celi, którą dozorca za nimi z poważną miną zamknął.

Pani Herbert zaproponowała młodej parze przechadzkę, a sama pobiegła do domu, aby zgotować obiad.

Markiz bardzo wdzięczny był jej za to i idąc z narzeczoną, szepnął jej do ucha, o swym szczęściu. Ida słuchała zapewnień tych z przyjemnością, rumieniła się i uśmiechała na przemian.

Po drodze spotkali ową małą dziewczynę, którą de Lorme pamiętnego dnia do mieszkania pani Herbert zaprowadziła. Stanęła ona i dygnąwszy głęboko, rzekła:

— Dziękuję panu markizowi za te pieniądze, które dziś rano dostałam. Moja mama aż płakała z radości i zaraz zaniosła je gospodarzowi za czynsz, który była winna.

De Lorme nie zrozumiał jej, ale poznawszy ją, zawołał:

— To moja mała przewodniczka, która mi wskazała drogę do szczęścia!

Potem zwróciwszy się do Idy zapytał:

— Moja droga, czy znasz tę małą?

— Jest ona córką biednej wdowy, która sama musi pracować na wyżywienie kilkorga dzieci — odparła Ida. — Twój hojny prezent z pewnością jej się przydał!

— W dniu tak szczęśliwym dla mnie, chcę i innych ludzi widzieć szczęśliwymi — rzekł markiz — powiedz tej małej, aby nas do swej matki zaprowadziła.

— Kochany Arnoldzie! — szepnęła Ida wzruszona i uszczęśliwiona; przetłumaczywszy małe życzenie markiza, poszli za nią do ubogiej, ale schludnej chatki biednej wdowy.

Zastali ją pracującą przy maszynie do robienia pończoch. Zobaczywszy ich, wstała od swej roboty i ukłoniwszy się głęboko, rzekła:

— To pewnie pan obdarzył dziś moją małą! Dziękuję panu stokrotnie!

Ida zaczęła się ją uprzejmie wypytywać o jej stosunki, a biedna kobiecina odpowiedziała:

— Nie byłoby mi tak bardzo źle, gdybym maszynę miała już całkiem zapłaconą; ale dałam tylko mały zadatek i zobowiązałam się co tydzień płacić koronę, jako ratę za nią. Jestem więc zawsze w strachu, nim tę koronę złożę, bo się obawiam, że za pierwszą niezapłaconą ratą, kupiec mi maszynę odbierze, a to co już zapłaciłam, przepadnie.

Ida, wysłuchawszy ją, rzekła:

— Kochany Arnoldzie, tu można bym małą sumą wiele dobrego zrobić!

Markiz wyjął 3 stuguldenowe banknoty i zapytał Idy czy to wystarczy.

— Kochany, drogi! — zawołała Ida uradowana — tą sumą zabezpieczysz tę biedaczkę na zawsze od nędzy!

— Daj jej więc te pieniądze, aniele mój! — rzekła Lorme z szczęśliwym uśmiechem — może nam za to Bóg dopomoże, że się będziemy mogli prędzej pobrać!

— Oto mały prezent od pana markiza — rzekła Ida rumieniąc się. Będzie pani mogła spłacić maszynę i jeszcze mieć parę groszy na czarną godzinę!

— To wszystko dla mnie! — zawołała kobieta uszczęśliwiona. — Ja nigdy jeszcze tyle pieniędzy razem nie widziałam. Niech Pan Bóg państwu to wynagrodzi, za to dobrodziejstwo dla mnie i dla moich dzieci!

Idzie stanęły łzy w oczach. — Chodź kochany Arnoldzie — szepnęła swemu narzeczonemu i pożegnawszy się, wyszła z nim z ubogiej chatki wśród błogosławieństw biednej wdowy.

Świeże powietrze wiosenne owiało ich przyjemnie gdy wyszli na ulicę, a słońce zesłało swe jasne promienie na dwie szczęśliwe głowy.

— Kochany aniele — szeptał de Lorme Idzie do ucha — chciałbym tak wiecznie być u twego boku! Nie wiedziałem dotychczas, jak pięknym jest życie i jak szczęśliwym można być na tym biednym świecie! Nie masz pojęcia, co ja wycierpiałem, gdy mi Teobald Haj powiedział, że ty jesteś jego narzeczoną!

— Podły — rzekła Ida już z nieopisaną pogardą w głosie — gdy pomyślę, jak on na twoje drogie życie czyha, to nie mam dość wielkiej kary na niego!

— Nie psujmy szczęścia naszego myślą o tym szubrawcu — odpowiedział de Lorme — spotka go i tak zasłużona kara! A teraz mówmy o czym przyjemniejszym, kochanie!

To mówiąc, zaczął jej znowu do ucha szeptać słodkie słowa, które na policzkach Idy wywoływały żywy rumieniec.

O szczęśliwy, błogi czasie pierwszej prawdziwej miłości!

Zdawało im się, że są w niebie. Ida uważała to za piękny sen i bała się rychłego przebudzenia.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

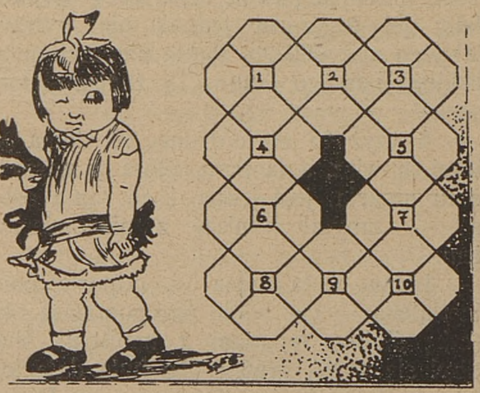
CHWILA ZASTANOWIENIA

KRZYŻÓWKA WIROWA

pod. Gal.

W puste pola, wokoło każdej cyfry wpisac 10 wyrazów czteroliterowych, odczytywanych w kierunku wskazówek zegara, począwszy od lewego skrajnego pola.

1. Odległość 7,5 klm., 2. Masa wulkaniczna, 3. Napój alkoholowy, 4. Pora roku, 5. Narzędzia rolnicze, 6. Gra sportowa, w której zawodnicy siedzą na koniach. 7. Stara kobieta, 8. Teren otwarty. 9. Sposób przesłania wiadomości. 10. Duża ubikacja.



DOPEŁNIANKA

pod. Gal.

G.. s.r..i.., .i .o.t.n. ..z.e.a,
W..d. p.z..s. ...y..c...a.

Karpiński.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Nagrody należy nadsyłać do piątku, dnia 25 marca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 10 „Moich Powieści“: Kwadraty magiczne:

I.	II.	III.
Amor	Bara	Plac
Masa	Abyr	Lucy
Osad	Ryba	Acan
Rada	Arab	Cyna

Kryptogram:
1. Bura
2. Fura
3. Góra
4. Hura
5. Jura
6. Kura
7. Lura

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Łaganowski — Dzierząźno, Kujawa Teodor — Janów, Chełminiakówna Joanna — Bydgoszcz, Kozłowska Maria — Katowice, Grątłowska Alicja — Włocławek, Janicki — Gniezno, Jolikowa W. — Koło, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Martoflowa M. — Głowno k. Łowicza, Kiełbratowski — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jolikowej z Koła i Janickiemu z Gniezna.

ADAM NASIELSKI

13)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

— To wszystko — powtórzył, a raczej wybełkotał Jazon jak nieprzytomny. Komisarz sięgnął po swe żółte rękawiczki.

— Jest pan wolny, kapitanie Kent. Jedynie przez wzgląd na pańskie angielskie obywatelstwo nie będzie pan zatrzymany do rozprawy. Uprzedzam jednak, że będzie pan przez pewien czas inwigilowany. Ginns, możesz wypuścić tych panów.

Mister Lawson z uśmiechem wypełnił jakiś blankiet i wręczył go policjantowi. Potem wyciągnął rękę do Jaza i ten uścisnął ją machinalnie.

— Good day, captain. Mam nadzieję, że otrzymasz egzemplarz pierwszego wydania z dedykacją, pomimo, że zakazałem prasie pisać o tej sprawie. Departament Kryminalny nie jest jednak biurem reklamowym. Adieu!

ROZDZIAŁ XXVI.

RAZ KOZIE ŚMIERĆ

Stał jak ogłuszony na wąskim mostku na West Polk Street i patrzał prawie bezprzytomnie na leniwie toczące się wody South Branch Cicago River, płynące pod nim. I co teraz!? Mimowoli sięgnął do kieszeni i stwierdził, że ma pieniądze. Niewiele przecież zdążył wydać, a Sedgwick nie zażąda chyba teraz ich zwrotu. Oczywiście, że nie.

Co kryło się za tą całą tajemnicą. Czemu komandor Douglas kazał powiedzieć, że wyjechał, Richard Murray, że nie ma akt? Widocznie istniały potemu ważne powody — jak u Sedgwicka... Lecz... właśnie... tu tkwiła przyczyna oszołomienia: Thelma Murray — ona? Jej ojciec otrzymał depeszę, że jego córka zaręczyła się z inspektorem Willsem i wyjechała do stanu Indian. Nie treść depeszy dziwiła Jaza — takie błyskawiczne zaręczyny w bogatych rodzinach są w Stanach nieomal na porządku dziennym, codziennie dosłownie tysiące rozwodów, ślubów — więcej niż zgonów. I nie fakt, że z Willsem. Jazon był pewny, że Thelma kocha jego, kapitana Kenta, czuł to. Zastanowiła go natychmiast inna okoliczność — nie nadszedł list, tylko telegram. A depeszę tej treści mógł nadać... sam bos! Dla uspokojenia podejrzeń. To byłoby zupełne wyjaśnienie...

Wróćmy jednak do Dicka — myślał chaotycznie i... nagle palnął się otwartą dłonią w czoło, że aż kilku przechodniów rozejrzało się w poszukiwaniu za najbliższym zakładem dla nerwowo-chorych... Przecież tu chodzi o sprawę szpiegowską!! Nic dziwnego — aha! — że Dick milczy, że Douglas zniknął, że Lawson zakazał prasie pisać o całej sprawie. Dają mu w ten sposób do zrozumienia: „Kapitanie Kent, to nie pański resort, odczep się pan, tym razem uznaliśmy pana łaskawie za blagiera — ale, odstaw się pókiś cały".

I Jaza byłby niechybnie posłuchał rady między wierszami i puściłby to wszystko kantem — gdyby nie Thelma. Ona jego kocha i on ją też. To jest fakt. Depesza o wyjeździe do Indiany była na pewno trickiem bosa, który upiekł na jednym ogniu aż trzy pieczenie: Odsunął podejrzenia władz od sprawy porwania, uniknął konfrontacji z Jazonem Kentem, gdzie groziło mu rozpoznanie i zdobył broń nad Dickiem, posiadaczem tajnych aktów, o jakie walczyły obie szajki gangsterskie. Ale z Jazonem Kentem nie taka łatwa sprawa — uwziął się kapitan.

Powoli przychodził do siebie, odzyskiwał równowagę ducha, jasny sąd na wypadki i czuł zarazem, że energia jego traci wiotkość, prężnieje — że dojrzewa w nim decyzja. Miłość nie miłość, uczucie nie uczucie — to się zobaczy. W każdym razie gra jest warta świeczki. Odwrócił się zamaszyście i spojrzał na wierne oczy Cliffa.

— Kogo z nas uważasz za wariata, filozofie. Mnie czy komisarza Lawsona.

— Ani jednego — rzekł Murzyn rozsądnie. — Za tym musi się kryć ważna tajemnica stanu. Wielka gra o wielki fant...

— Myślę tak samo. I pytam cię, Cliff — czy jesteś gotów pomóc mi w pewnym przedsięwzięciu, przy którym mamy dziewięćdziesiąt osiem szans na sto, że stracimy głowy, dosłownie.

— Może pan mną rozporządzać, captain. To jasne.

— Zastanów się, bo nie mogę cię namawiać do śmierci. Chcę sam — z tobą — podjąć ofensywę przeciwko dwum potężnym szajkom gangsterskim. Bez pomocy policji. Ofensywa — to brzmi może zbyt szumnie. Mówiąc ściśle, chcę odszukać Thelmę Murray. Zarazem dowiodę temu obskurnemu Lawsonowi, że to nie wszystko było powieścią sensacyjną, o czym ty zresztą wiesz, Cliff.

— Zdaje mi się, że i komisarz Lawson więcej wiedział. Oni chcą, żeby pan się nie wtrącał...

— Jesteś sprytny, Cliff.

— Więc kiedy zaczynamy, sir.

— Już. Halo!

Ku swemu zdumieniu poznał szofera, który woził ich na Lawrance Avnue i w którego taksówce ścigali żółty Lincoln Douglasa. Czyżby miał to uważać za omen, za dobry znak. Skąd, przypadek i tyle.

— Ach! — ucieszył się szofer. — To pan, sir. Mam szczęście.

— Nie wiem. Słuchajcie, człowieku — jak wam na imię?

— Nazywają mnie Dark.

— Czy jesteście odważny chłop?

— Przypuszczam.

— Jeżeli więc powiem wam, Dark, że chcę wynająć wasz wóz i was do walki z gangsterami.

— Okey! Pan jest reżyserem filmowym, sir?

Jazon nie umiał się nawet gniewać. Czego już nie chcieli zeń zrobić w tem Chicago...

— Żadne zdjęcia filmowe, Dark. Tu będzie groziła prawdziwa śmierć. Płacę sto dolarów za dobę. Więc jak?

— We Francji byłem na froncie i wykurzyliśmy boszów spod Paryża. Nie boję się. Ale forsa zgóry.

— Well. Napełnicie bak i zapasowe baki. Wybieramy się poza miasto.

— Już?

— Tak. Przedtem zawieziecie nas... Podał adres domu Harolda Murraya. Po przyjeździe na miejsce dowiedział się, że mister Murray senior bawi w Sascatchewan, zaś pan porucznik wyjechał dziś rano...

— Czyli nie chcą mnie znać... — mruknął Jaz i polecił Darkowi zawieść ich do hotelu Stevensa. Tu zjadł obiad, przebrał się i przedtem jeszcze umówił się z Darkiem na pół do ósmej — nie chciał bowiem wyruszyć przed zapadnięciem mroku. Już w czasie drogi do hotelu i przedtem rozglądał się bacznie i to samo nakazał Cliffowi, gdyż należało przypuszczać, że zarówno bos jak i Sedgwick nie darują niebezpiecznemu kapitanowi Kentowi, tego, że dowiedział się o wiele za dużo. Właśnie dlatego obrał noc, jako porę wyprawy do domu na wzgórzu przy Twentieth Third Road.

W gabinecie hotelowym usiadł, położył z amerykańska nogi na blacie biurka i zadzwonił na Cliffa. Trzeba było dokładnie omówić plan wyprawy.

— Siadaj, Cliff i słuchaj dobrze. Zapal. A teraz uważaj: Dziś w nocy wybierzemy się do domu na wzgórzu i poszukamy śladów. Według mnie sprawa przedstawia się następująco: Bos, czyli inspektor Buddy Wills porwał Thelmę przede wszystkim dlatego, że myślał, iż ja powiedziałem jej wtedy na szosie o wszystkim, a więc i o nim. Potem dopiero wysłał depeszę do jej ojca, aby w ten sprytny sposób odwrócić podejrzenia. My musimy odnaleźć Thelmę.

Strząsnął popiół z papierosa i dodał niemal z desperacją:

— Jeżeli przy normalnym zachowaniu wzięli mnie za wariata — to może po tej zwariowanej wyprawie przyznają mi, że jestem normalny.

— Czy to nie jest zbyt niebezpieczne, sir. Przecież Secret Service wyraźnie nie chce wtrącać w to obcych ludzi.

— O niebezpieczeństwie przestałem już myśleć. Jeżeli się boisz...

— No, sir. Pan wie, że nie to miałem na myśli.

— Więc cicho. Ja już jestem zdecydowany. Opatrz broń, weź zapasowe magazynki, nasze noże fińskie, wystaraj się o sznury, latarki i tym podobne drobiazgi. Ja temu Lawsonowi pokażę powieść sensacyjną!

— Jaki jest pana plan, sir.

— Żaden. Na miejscu zorientujemy się. Cel osateczny — odszukanie miss Murray bez względu na okoliczności. Jeżeli przy okazji będę mógł powiedzieć parę słów panu inspektorowi Willsowi, to myślę, że ty mi w tym dopomożesz.

Roześmiał się na głos.

— Każde zło ma swoją dobrą stronę, w tym wypadku są nią pieniądze podarowane mi poprostu przez Sedgwicka.

— On nam tego nie daruje tak poprostu.

— Więc pogadamy i z nim. Będzie gorąco, ani słowa.

Cliff mruknął „kismet" i zabrał się do wykonania rozkazów, a jego pan zdrzemnął się na siedząco. Sen miał spokojny i zbudził się o szóstej. Cliff stał już w pogotowiu.

— Ten Dark już jest.

— Więc idziemy! Obejrzyj sobie dobrze te pokoje, Cliff, bo nie jest wykluczone, że wrócisz tu jako nieboszczyk, i ja również. Wiem że decyduję się na szaleństwo, wybierając się samotrzeć na dwie szajki chicagowskich gangsterów. Nawet Lawson nie określiłby tego jako pomysł z powieści sensacynej.

— Dlaczego, sir?

— Bo nawet w powieściach sensacyjnych nie zdarzają się takie wariactwa, jak to, żeby jeden człowiek przy zdrowych zmysłach wybrał się na dwie szajki gangsterów w Chicago. A jednak — psiakrew! — zapewniam cię, że nigdy nie byłem tak trzeźwy i opanowany— jak jestem teraz — zakończył Jazon zawzięcie i zdecydowanym krokiem skierował się do windy. Za nim Cliff z małą walizeczką mieszczącą w sobie mały arsenał.

Larry Dark czekał w taksówce przed hotelem. Na widok Jazona zasalutował po wojskowemu i mrugnął okiem szelmowsko.

— Dokąd jedziemy.

— Na Twentieth Third Road — rozkazał kapitan twardo. — Macie może przypadkiem jakiś rewolwer przy sobie.

— Nawet dwa!

Motor zawarczał głucho, poderwał się i wóz zmieszał się z tłumem pojazdów na Michigan Boulevard. Jazon obejrzał się kilkakrotnie, nie zauważył, aby ktoś jechał za nimi, ale wcale nie był tym uspokojony. Spodziewał się tej nocy wielu przeżyć. Zerknął na skupionego Cliffa i poważna mina murzyna nie wydała mu się wcale śmieszna.

— Nie boisz się, Cliff.

— Po co, sir? Czy to coś pomoże?!...

— Masz rację, Cliff. Po co? — I odsunął szybę oddzielającą ich od szofera. — Kiedy wyjedziemy na szosę, puści pan motor na pełny gaz, Dark. Szybkość przede wszystkim, tempo jest pierwszym wymogiem ataku; zawsze oszołamia wroga. Wredny komisarz Lawson powiedziałby: czytelnika — ale ja mu tej nocy pokażę powieść sensacyjną!

Przez dłuższą chwilę mknęli potem w milczeniu. Gdy zabudowania miasta zaczęły się przerzedzać, Jaz dotknął ramieniem Darka.

— Teraz całym pędem. Szosa idzie pod górę. Na wzgórzu stoi dom. Wyminie pan ten dom z największą szybkością i zatrzymasz samochód o kilometr za nim. Tłumik zamknąć!

Szofer skinął tylko ramionami nie odwracając się i prowadził wóz z niezmniejszoną szybkością. Szosa była pusta i cicha, po obu stronach ukazały się łąki, które po kilkunastu minutach ustąpiły miejsca sitowiu i krzakom. Tu droga wznosiła się już wyraźnie pod górę. Zbliżali się do celu. Samochód, zgodnie z instrukcją, Jaza wyminął z pełną szybkością dom na wzgórzu, przejechał jeszcze około kilometra łagodnego spadku i tu Dark zahamował cicho.

Jazon wysiadł, a z nim Cliff z waliską — arsenałem, z której wydobył teraz jeszcze jeden rewolwer, zapasowe magazynki, latarki i sznur i rozdzielił to wszystko między siebie i kapitana. Szofer przypatrywał się temu z nieukrytym zdziwieniem.

— Czy pan planuje włamanie, sir.

— Wyjątkowo zgadliście, lecz nie macie się czego obawiać — uczciwe włamanie. Muszę wydobyć z rąk gangsterów — napperów pewną młodą lady i nie będę zmartwiony o ile mimochodem, przy okazji postrzelę dwóch - trzech łotrzyków.

— A ja...

— Wy tu uczciwie poczekacie przy samochodzie. Gdybyście usłyszeli strzały możecie przybiec na pomoc, o ile oczywiście chcecie i nie macie stracha.

— O, ja się nie boję.

— Well. Teraz zaś zostaniecie przy wozie. Nie gasić motoru, aby był w każdej chwili gotów do odjazdu...

Larry Dark, szofer, skinął głową i usiadł spokojnie na stopniu swego wozu. Patrzał przez dłuższą chwilę za odchodzącymi „argonautami" i gdy wreszcie osądził, że oddalili się już dostatecznie — włożył dwa palce w usta i wydał cichy, przenikliwy gwizd w ciemność.

OKO W OKO

Jak na złość (i naprzekór komisarzowi Lawsonowi — pomyślał Jaz z bezprzedmiotową satysfakcją) noc była jasna, księżycowa i po wczorajszym „wyładowaniu się" deszczu, nie zapowiedziało się nawet na zachmurzenie. Dlatego zrezygnował z wygodnej, lecz grożącej niebezpieczeństwem drogi na asfalcie i przeskoczywszy rów szedł po trawie w kierunku domu niebezpieczeństw.

Posuwali się teraz ostrożnie i bacząc na wszystko dookoła. Pomimo nieco teatralnych przygotowań do wyprawy Jaz rozumiał, że sprawa jest piekielnie poważna i, między nami mówiąc, niewielką miał nadzieję na udanie się „aktu". Bo niby „z czym do gości"... Z drugiej jednak strony był zdecydowany na najśmielsze posunięcia i ani myślał o cofnięciu się — w tej chwili.

Nie zaświecił latarki, gdyż i tak — psiakrew! — było dość widno. Po pięciu minutach drogi, co zaobserwował na zegarku — ujrzeli przed sobą znajome kontury domu, w których był uwięziony i w jakim Dion prowadził z nim taką dowcipną, psia jego nędza! rozmowę. W oknach nie było ani śladu oświetlenia wewnętrznego. Albo więc wszyscy spali, co zdarza się w nocy także gangsterom — jak osądził kapitan z humorem, który mu powoli wracał do formy. Albo też nie było nikogo i to było więcej prawdopodobne przypuszczenie.

Tak doszli bez przeszkód do znanych im z wczorajszej nocy tylnych drzwi i tu zatrzymali się. Wokoło panowała absolutna cisza, aż dzwoniąca w uszach — to też tem wyraźniej zabrzmiał w niej cichy gwizd. Cichy — bo oddalony, ale o tym Jaz nie wiedział. Znieruchomiał i tak czekał z bronią u biodra.

— Co to było, sir...

— Zdawało mi się, że ktoś gwizdnął...

— Mnie też...

Po kilku minutach dalszego czekania zdecydował się wreszcie wejść. Drzwi i tym razem były otwarte. Poprawdzie Jaz niebardzo wiedział czego tu będzie szukał. Przecież wczoraj w nocy zrewidowali dom —

i nic. Byłoby wysoce naiwnym przypuszczać, że bos — Wills teraz ukrył Thelmę w domu, o którym policja po meldunku Jaza, bez względu na to jak ocenionym — miała już informację. Czego więc szukał Jaz właśnie tu. Niczego — ale on przecież nie miał innego punktu podjęcia nici śledczej — jak tylko tu. Dlatego właśnie wybrał się tu z Cliffem.

W korytarzu pusto. Coś pisnęło pod nastąpieniem Cliffa i murzyn omal nie wystrzelił w podnieceniu. Kot — lub pies. Pies — oświetlił go latarką. Mały kundelak, patrzący na nich ze zdziwieniem, jakby chciał zapytać — a wy tu co! Sytuacja była głupia, w najwyższym stopniu — bo ten psiak gotów w każdej chwili zaszczekać i wtedy ich obecność będzie zdradzona. Lecz piesek pomerdał obciętym ogonem i wbiegł na schody.

— Za nim! — szepnął Jaz bez namysłu i postawił nogę na pierwszym stopniu. W tej samej sekundzie rozległ się z tyłu głuchy łomot i znów zapanowała niesamowita cisza. Jedno skierowanie latarki wystarczyło do przekonania się, że drzwi przez które weszli i zostawili otwarte — były zatrzaśnięte.

Kapitana przeszedł dziwny mróz w kościach i Jaz miał szczerą ochotę odmówić „Requiescatur..." Po namyśle zrezygnował jednak i śmiało wstąpił na schody. Na półpiętrze nie było nikogo, a i wyżej nie słychać było zapowiedzi obecności żywej duszy. Pies zniknął gdzieś i to najbardziej denerwowało Jazona. Nieomal z desperacją i nie ukrywając już swojej obecności (przed kim!) przebiegł przez trzy górne pokoje i przede wszystkim i twierdził, że niema czego obawiać się zamknięcia, bo z pierwszego piętra skok i to dla marynarza — wcale nie będzie ryzykowny. Dlaczego więc zamknięto drzwi za nimi na parterze. Niezrozumiałe.

Przesunął językiem po wyschniętej wardze dolnej i z rewolwerem w palcach zeszedł na dół. I właśnie w tej chwili zauważył nieobecność Cliffa.

— Cliff! — szepnął cicho, lecz wyraźnie.

Nie odezwał się nikt i Jaz miał wrażenie, że jakieś niewidzialne, a potężne dłonie obejmują kościstemi palcami jego krtań i zaciskają, duszą, aż do wyciśnięcia ostatniego tchu. Oparł się o ścianę, gdyż obawiał się, że upadnie z wrażenia. — Cliff! Cliff! — Gdzie on się podział. Kochany, czarny filozof.

— Cliff! krzyknął prawie głośno.

Ogarnął go naraz paniczny strach i chęć ucieczki. Gdziekolwiek, byle dalej, byle nie tu — bo... Wbiegł do bocznego pokoju na górze i przełożył nogę przez parapet okna w zamiarze wyskoczenia.

Pingg!

Strzelali jawnie bez tłumników i Jaz uskoczył z krzykiem. Kula wbiła się o niecały cal od jego ramienia. Teraz już rozumiał. Otoczyli dom, zamknęli drzwi po ich wejściu i teraz ich mają — lecz kto uprzedził gangsterów o ich przybyciu. Ich?! Gdzie jest Cliff? Kto go porwał jeżeli w domu wewnątrz, nie ma nikogo? Obawiał się, że zwariuje, lub że już zwariował. Wybiegł z pokoju jak szalony. Stał na korytarzu i oddychał cicho. Odważył się znów poświęcić latarkę. Korytarz, bariera poręczy, jeden pokój — znam, drugi znam, trzeci i ta komórka, z której wczoraj uwolnił Sedgwicka-drania, przyczynę tej całej kabały — — uwolnili go, aby policja mogła wypuścić go po takim oskarżeniu. Nic, tylko cały Departament Kryminalny jest przekupiony przez gangsterów. Jaz odwrócił się ze złością i dopiero teraz zauważył prostokątną klapę w podłodze obok ściany. Uchwycił za żelazne kółko i podniósł „wieko". Oświetlił jakieś drabiniaste schody, czy schodową drabinę i zrozumiał, że Cliffa mogli uprowadzić tylko tędy, kiedy on — kapitan — przeszukiwał pokoje.

Nie namyślając się wcale, odciągnął bezpiecznik i strzelił trzy razy tuż nad prostokątnym otworem. Z zewnątrz rozległ się w odpowiedzi jeden wystrzał, ale Jaz nie słyszał go nawet może, gdyż jednym susem znalazł się na drabinie i nacisnął guzik latarki.

Znajdował się w przestronnym pokoju bez okien. Po krótkich poszukiwaniach odnalazł kontakt i zakręcił. Błysnęła żarówka. W rogu, na zakurzonej skrzyni leżał Cliff.

Martwy!

Z jękiem zeskoczył z drabiny i ukląkł przy ciele kochanego kompana i przyjaciela. Z rany na czole murzyna ściekała krew, miejscami już skrzepła. Chciało mu się płakać i demolować otoczenie i dopiero huk nad głową uświadomił mu, że ktoś zatrzasnął klapę i — Jazon Kent był idealnie uwięziony. Jednocześnie żarówka zgasła i zapanowała czerń ciemności.

Z wrażenia latarka wypadła mu z ręki. Może przez kilka minut stał nieruchomy i zrozpaczony, jakby sparaliżowany bólem, zmartwieniem i obuchem przerażenia. Dopiero po pewnym czasie nachylił się, aby znaleźć latarkę. Namacał ją palcami, ale nie miał nawet ochoty poświecić. Po co?! Zabili Cliffa. On więziony, Thelma porwana — ale o tym ostatnim najmniej myślał w tej chwili, bo bardzo obchodził go własny los i śmierć przyjaciela i zrozumiałe.

Usiadł poprostu na ziemi i ukrył głowę w ramionach. W ręku miał wciąż rewolwer, w lewej latarkę i tak siedział niby zgrzybiały starzec i mózg jego przestał działać. Czuł szum w uszach, dreszcze w stawach, drgawki w kolanach i uścisk w okolicy żołądka, tylko serce biło jak młot. Był kompletnie przybity. I jednocześnie rzuł, powoli, jak ogarniała go nanowo głucha, wściekła złość, tym razem już niepohamowana. Zacisnął palce dookoła główni rewolweru i bez wahania zmienił nawpół wystrzelony magazynek na nowy. Wstał, poświecił latarkę i spojrzał prosto w nieruchome oczy inspektora Buddy Willsa, który stał obok kontaktu przełącznika i właśnie przekręcił go. Zapłonęła żarówka pod powałą komory i rozległ się zimny, groźny, niesamowicie opanowany głos rozkazu.

— Ręce wyżej, kapitanie Kent. Zupełnie w górę!

Jaz bez namysłu nacisnął cyngiel swego rewolweru, lecz rozległ się tylko pusty trzask. W zdenerwowaniu zapomniał bowiem wsunąć świeży magazynek do końca i sprężyna nie zeskoczyła.

— Marny strzelec z ciebie, Kent — rzekł Wills drwiąco i jednym kopnięciem lewej nogi wytrącił Jazowi broń. Kapitan zacisnął wargi.

— Bos, to pan oczywiście. Policja ma zameldowanie o wszystkim. Nie uwierzyli mi, ale gdy teraz znajdą ciało Cliffa — uwierzą.

— A dlaczego mieliby je znaleźć, Kent. Czy to potrzebne. Twego ciała także nie znajdą, Kent — rzekł Wills spokojnie i Jaz poczuł miliardy szpilek na całej powierzchni naskórka.

— Gdzieś podział Thelmę Murray, bos! — zapytał wściekle.

— Mógłbym ci to powiedzieć, Kent, bo ty i tak nie ujrzysz jej nigdy.

— Więc mów! tchórzu.

Buddy Wills zaśmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip i naraz znieruchomiał. U góry, za klapą rozległo się twarde, miarowe pukanie:

— Otwórzyć! Bo wywalimy!...

Jazon poznał głos i aż krzyknął z radości.

— Spokojnie, Kent. — Rewolwer gangstera wycelowany był śmiertelnie dokładnie i Jaz był pewny, że nadeszła jego ostatnia chwila.

— Ręce w górę! — syknął Wills i kapitan usłuchał automatycznie.

Gangster cofnął się powoli do ściany. Wyciągnął lewą rękę w tył, aby odsunąć wiadomy mu rygiel — i w tej właśnie sekundzie Jazon Kent skoczył z desperacją. Usłyszał ciche „plep!" kuli wylatującej przez srebrny tłumik, poczuł piekący ból w ramieniu, lecz nie powstrzymało go to. Całym ciężarem swego ciała padł na Willsa i uchwycił go palcami za szyję.

— Mam cię, draniu!

Zwarli się w uścisku i Jazon już po chwili zrozumiał

(Dokończenie nastąpi.)



Niedziela, dnia 20 marca 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 11.22 „Błękitne miecze" — przechadzka po Państwowej Manufakturze Porcelany w Miśni 13.03 Poranek symfoniczny (z Wilna) 13.10 „Legenda o Janie i Cecylii" — fragment z powieści „Nad Niemnem" E. Orzeszkowej 13.30 Muzyka obiadowa (z Katowic) 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Arie operowe w wyk. Sergiusza Benoni'ego 16.25 Pieśni szkockie Ludwika van Beethovena 16.45 Podwieczorek przy mikrofonie 18.50 „Pokusa" — słuchowisko 19.35 Słynni wirtuozi (XV audycja) 21.15 „Ta - joj" — Nowa wiosna — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Recital fortepianowy Piere Meillard Verger 22.35 Muzyka lekka w wykonaniu orkiestry Raymonde'a (płyty).

Poniedziałek, dnia 21 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu": Z mikrofonek u koronkarek śląskich 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 „Z gitarą po podwórku" — audycja z Katowic 17.00 „Przyrost ludności" — odczyt 17.15 Piotr Czajkowski: kwartet op. 30 es-moll 18.10 Piosenki w wyk. francuskiej pieśniarki Suzy Solidor 18.35 — Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujmy: „Czy sztuka jest luksusem" 20.00 „Witamy wiosnę" — koncert w wykonaniu małej orkiestry P. R. 22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 22 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra kwartet Lenera (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Dziwna podróż pana śledzia" — pogadanka dla dzieci 16.10 Koncert orkiestry wojskowej 17.15 Recital śpiewaczy Loli Monti-Gorsey 17.50 Kamienie budowlane — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Nieśmiertelne książki" — wiecz. XII. „Don Kichot" 19.30 Utwory Jana Brahmsa w wyk. Maryli Jonasówny (fortepian) 20.00 Polska kapela ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 21.00 Koncert symfoniczny z Torunia 22.00 Muzyka rozrywkowa z Poznania.

Środa, dnia 23 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Szwedzkie pieśni ludowe (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Ludwik Pasteur — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Obrazki muzyczne i piosenki dla dzieci 17.15 Łódzka orkiestra salonowa 17.50 „Co robić z dzieckiem po ukończeniu szkoły powszechnej" — odczyt 18.10 Muzyka lekka (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Za robotą" — epizod z powieści 19.20 Pieśni Cezara Cui do słów Mickiewicza 19.35 Żelazowa wola w nowej szacie — dialog dyskusyjny 19.55 Wiązanki organowe i piosenki (płyty) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Leopolda Muenzera 21.45 „Nieprzemijający urok poezji" — „Piękno rzeczy czarnoleskiej" — kwadrans poetycki 22.00 Koncert popularny w wyk. Orkiestry P. R.

Czwartek, dnia 24 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Opera — poranek muzyczny dla liceów 11.40 Utwory fortepianowe Domenico Scarlatti'ego (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą 16.15 Koncert solistów (z Wilna) 17.00 „Wiedza i książka": „O instytucie śląskim" 17.15 Mniej znane utwory w wyk orkiestry A. Hermana 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Premiera słuchowiska „Obraz" 19.40 Koncert chóru dzieci krakowskich 20.10 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 21.45 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki E. Szelburg-Zarembiny. 22.00 Koncert.

Piątek, dnia 25 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Marsze i walce symfoniczne (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Oko ustokrotnione" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada" 17.00 „Szkoła w Uściługu" — felieton 17.15 Melodie Grecji — audycja muzyczno-literacka 18.10 Walce na instrumentach solowych (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Koncert muzyki religijnej 19.45 Komedie A. Fredry (wiecz. 6) „Pan Geldhab" 20.30 Piosenki w wykonaniu Imperio Argentiny (płyty) 21.00 „Wesoły coctail" — koncert rozrywkowy.

Sobota, dnia 26 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Engelbert Humperdinck: fragmenty z op. „Jaś i Małgosia" 12.03 Audycja południowa 15.45 „Dnia 24 marca 1794 roku" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Miniatury kwartetowe 17.00 „Pani na Barwałdzie, śląski rycerz — rozbójnik" — felieton 17.15 Recital fortepianowy Francine de Hagen 18.15 Szkocka muzyka ludowa (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 „Diabelski jeździec" — operetka w III aktach Kalmana 21.55 „Szkoła poetów" — skecz 22.05 „Przy kominku" — lekka audycja muzyczna.



PRÓBA UCZCIWOŚCI

Pipman przychodzi do Ezenhozena. Na biurku Ezenhozena leży złotówka.

— Na co leży ta złotówka? — Pyta się Pipman.

— To jest dla wypróbowania uczciwości ludzkiej. Jeżeli po wyjściu interesanta złotówka ginie, to ja wiem, że on jest złodziejem.

— To ty powinieneś położyć 10 zł, bo na złotówkę nikt się nie połaszczy.

— 10 zł, to ja bym sam zabrał.

OBURZENIE

Do sklepu z konfekcją wchodzi jakaś pani prosi o kołnierzyk męski Nr. 42.

— Ile sztuk pani sobie życzy? — pyta subiekt.

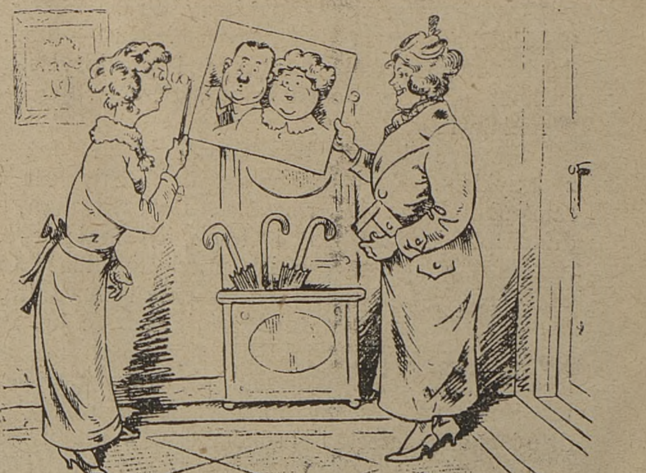
— Cóż pan sobie myśli? — krzyczy oburzona dama — Że ja mam pięciu mężów? Proszę jeden!

TAKIE PROSTE

— Wie pan, panie Żółtko, ja już na dwa tygodnie przed przyjściem na świat małej księżniczki holenderskiej wiedziałem, że na pewno urodzi się dziewczyna!

— Dlaczego?

— Bo tak długo dała na siebie czekać!



Kucharka przy obejmowaniu posady:

— Oto fotografia tych państwa, u których pracowałam ostatnio. Wygląd ich świadczy najlepiej o mym sposobie gotowania.

STARY SŁUGA

Pan Władysław: — Robisz się niezgrabny! Gdzież się podzieli dobrzy służący.

Jan: — Powymierali razem z dobrymi panami.

POBOŻNE ŻYCZENIE

Maciej Bzdęga ma zwyczaj wychodząc z domu, zostawiać na drzwiach kartkę z napisem, gdzie jest i kiedy wróci.

Pewnego dnia udał się na pogrzeb przyjaciela i na drzwiach umieścił kartkę: „Jestem na cmentarzu".

Gdy wrócił do domu, znalazł na kartce dopisek:

„Niech panu ziemia lekką będzie!"

INWESTYCJA

Pan Eustachy ma 90 lat i mieszka u wnuczki. Od pewnego czasu cierpi na silne bóle zębów. Wezwano wreszcie dentystę, który zbadał pacjenta i oświadczył:

— Zapalenie okostnej. Trzeba będzie wyrwać lewy ząb trzonowy i wstawić złotą koronę.

— Czy pan doktór uważa, — pyta pani domu — że warto jeszcze tyle inwestować w staruszka?

ZAKŁAD

Antek i Felek udali się nad Wisłę łowić ryby. Ponieważ jest to dość nudne zajęcie, więc wpadli na myśl, żeby założyć się, kto złapie więcej ryb.

Antek wytężał wszystkie siły. Felek zaczął zęby, licząc ukradkiem ilość ryb w kubełku rywala.

Nagle rozległ się krzyk. Antek wpadł do wody i zaczął tonąć.

Felek przypatruje mu się przez pewien czas, wreszcie odzywa się:

— Uprzedzam cię Antoś, że jak będziesz łapał ryby rękami, to zakład nie będzie ważny.

W AMERYCE

Milioner Lewis wysłuchuje bez wrażenia gorącego przemówienia kandydata do ręki córki.

— Niech mi pan przysięgnie — rzekł w końcu, — że z takim samym zapałem oświadczyłby się pan o jej rękę, gdyby nie miała w posagu ani centa.

— Chętnie bym złożył taką przysięgę, — odparł blady młodzieniec, — ale pod warunkiem, że mi pan później nie powie: „Takiemu idiocie nie dam swej córki!"

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.